6 STRON — W numerze: „Sklep przy ulicy Nadziei" — CENA: 6 PENSÓW

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — POLISH WEEKLY — PRICE SIXPENCE (IN USA AND CANADA 5C)

Wychodzi co tydzień — Dnia 30 sierpnia 1947 r — Rok IX. Nr. 34

CO Z NAMI BĘDZIE?

Masowe osiedlenie Polaków na obczyźnie jest przedsięwzięciem najtrudniejszym do przeprowadzenia. Nie z powodu braku możliwości lub terenów, nadających się do tego celu, ale z powodu istniejących oporów natury politycznej, narodowościowej czy wreszcie normalnych trudności przełamania istniejącego stanu rzeczy i torowania nowych dróg. Większość tych czynników jest prawie niezależna od naszego wpływu. Mimo to dążenie do osiągnięcia tego celu może da w końcu pewien rezultat.

Tymczasem warunki stwarzają konieczność pewnych palących rozwiązań, zarówno jednostkowych, jak i środowiska emigracyjnego. Winniśmy wszyscy dążyć do zrozumienia naszej sytuacji i konieczności natury nie tylko materialnej. Dopiero jasne sformułowania pozwolą nam na określone działanie.

Do niedawna całe wychodźstwo wojenne było masą niezorganizowaną, żyjącą poza realnym życiem w warunkach dobrych materialnie, ale ujemnych duchowo. Dwie grupy zasadnicze wychodźstwa: wojsko i uchodźcy cywilni — były nienaturalne w składzie i organizacji. Wojsko, bo stanowiło zespół o bardzo specjalnych zadaniach i podziale, który nie zawsze był zgodny z wymaganiami, stawianymi wobec ludzi w życiu codziennym. Cywilna ludność, bo nie posiadała elementu w sile wieku i twórczości, nie miała dopływu nowych członków i co za tym idzie koniecznej i naturalnej przemiany pojęć, wynikającej z naturalnego rozwoju społeczeństwa. Obie grupy żyły od paru lat w nienaturalnych stosunkach, mając jeszcze zasadnicze utrzymanie materialne jako uchodźcy.

Obecnie warunki te zmieniają się zasadniczo. Przez PKPR wszyscy wojskowi przejdą do życia cywilnego; uchodźcy cywilni zaś na normalny status mieszkańców kraju, w którym się znajdują i z konieczności zaczną czerpać środki utrzymania z własnej pracy.

Przetworzenie uchodźstwa w emigrację pociąga dwie zasadnicze przemiany, które wpłyną na obraz środowiska. Przede wszystkim rozluźni się, a wkrótce zniknie zupełnie zewnętrzna więź organizacyjna, jaką jest wojsko. Po drugie masa rozproszy się — przynajmniej do chwili, gdy powstałaby możliwość zebrania emigrantów na jednym terenie osiedleńczym.

W życiu cywilnym — na najbliższą przyszłość w Wielkiej Brytanii — warunki wewnętrzne kraju, jego stan i potrzeby narzucają masie emigracyjnej przymus rozproszenia się.

W związku z tym nasuwają się dwie sprawy: uzyskiwania przez nas pracy drugorzędnego rodzaju i stosunku do społeczeństwa, które nas będzie otaczać, co łączy się ze stosunkiem do społeczeństwa własnego.

Uzyskiwanie pracy gorszej i nie zawsze tej, której byśmy pragnęli, jest rzeczą normalną. Wchodzimy do społeczeństwa zorganizowanego, którego układ społeczny jest wynikiem długiego i naturalnego rozwoju. Żeby zająć w nim miejsce, odpowiadające zdolnościom i kwalifikacjom, trzeba się nimi pozytywnie wykazać. Jest tak wszędzie i zawsze, to też nie wolno nam z tego powodu ustosunkować się niechętnie do społeczeństwa, w którym mamy żyć.

Trzeba sobie zdać sprawę z istniejących warunków. Nie Anglicy mają się do nas dostosować, tylko my musimy znaleźć sposób życia, aby nie szkodząc im, móc zachować przyrodzone nam cechy. Jest to wyłącznie naszym obowiązkiem i leży tylko w naszym interesie.

W związku z wszelkiego rodzaju trudnościami należy unikać naturalnej dążności do odcinania się, do unikania społeczeństwa, które nam się może nie podobać. Postępowanie takie wywoła przede wszystkim reakcję tego społeczeństwa, które będzie w tym wypadku dążyć do wyrzucenia poza swój nawias obcych, którzy tę obcość zaznaczają zbyt ostro lub niepotrzebnie. Musimy i możemy pozostać odmienni, ale musimy nauczyć stosować się do innych.

Stwarza to najcięższy problem każdej emigracji — zachowania własnej odrębności narodowej lub rozpłynięcia się wśród obcej narodowości.

Zachowanie zupełnej odrębności jest równoznaczne z zachowaniem drugorzędnej pozycji w środowisku, w którym żyjemy. Asymilacja, przystosowanie się, chociażby początkowo zewnętrzne, pozwoli nam na zajęcie w tym społeczeństwie należnego nam miejsca, odpowiadającego naszym możliwościom i zdolnościom (co nie zawsze jest równe naszym pragnieniom i ambicjom). Na dłuższą jednak metę grozi to wynarodowieniem, czego wszyscy się obawiają.

Obawy te nie wydają się słuszne i uzasadnione. Nasze pokolenie nie da się nigdy zasymilować. Nie mówię o jednostkach — jest ich bardzo niewiele i są one zazwyczaj najmniej wartościowe. Pozbywając się ich, kraj nic nie traci. Mówię o przeciętnym Polaku, wychowanym w ostatnim dwudziestopięcioleciu. Dla nas wszystkich — i to z biegiem lat coraz silniej — głównym dążeniem będzie powrót do kraju, między swoich.

Już dzisiaj odczuwa się to wśród wychodźstwa. Po dwudziestu latach pobytu we Francji, poza małymi wyjątkami, większość emigracji pragnie powrotu. Jedyną rzeczą, która gra rolę w tym ruchu jest możność przekazania zdobytego majątku do kraju i otrzymania tam pracy, która by pozwoliła żyć na znośnej choćby stopie życiowej. Znam wiele wypadków reemigracji z Francji i Ameryki przed wojną. Podczas wojny pragnienie powrotu zyskało nowe pobudzenia. Sprzyja temu przede wszystkim legenda wojenna Polski, będąca niczym innym, jak objawem żywotności narodu.

Reemigracja w chwili uwolnienia kraju stanie się masowa. Dotyczyć to będzie także ludzi starszych, jak emigracji w Westfalii i ludzi młodych, którzy Polski nigdy nieraz nie widzieli, mimo obcych szkół i towarzyszy pracy bowiem nadal językiem macierzystym jest dla nich język polski. Żyłem wśród tej emigracji długi czas jako jeden z nich i mam możność sądzić i oceniać tych ludzi i wyciągać wnioski.

Nastroje wśród emigracji polskiej we Francji są dowodem, że nie należy obawiać się wynarodowienia. Istotą sprawy na emigracji jest umiejętna organizacja — umiejętna w sensie swobodnego rozwoju i odpowiedniego doboru ludzi do pracy społecznej, co musi wypływać z ich istotnych walorów i rzetelności pracy nad zachowaniem języka i kultury, czyli szkół, prasy, wspólnych zainteresowań i objawów życia kulturalnego. W żadnym zaś wypadku nie może być mechanicznym utrzymaniem jakichkolwiek narzuconych form, które przede wszystkim odrzucą poza nawias ludzi urodzonych na kierowników życia społecznego. Właśnie społecznego — nie politycznego lub organizacyjnego. Życie polityczne często dzieli ludzi, organizacja nie wypływająca z naturalnego układu nie może mieć wartości z powodu braku możliwości stosowania zewnętrznego przymusu.

Wreszcie konieczne jest posiadanie jak najbliższego kontaktu z krajem. Przecięcie więzów byłoby przecięciem narodowych korzeni emigracji. Nasza rola na obczyźnie jest funkcją łączności z krajem, bez której prawie nie mielibyśmy znaczenia.

Organizacja społeczeństwa emigracyjnego jest dziś najtrudniejszym zadaniem z tej przyczyny, że większość wychodźstwa to jedynie jego martwi członkowie. Dopiero po znalezieniu — jakichkolwiek zresztą — podstaw materialnych i dopuszczeniu jednostki do normalnego rozwoju, niemożliwego do osiągnięcia ani w wojsku ani w obozach, można będzie zacząć pracę w tym kierunku. Dziś jest czas na przygotowania, które mogą być pomocne w późniejszym rozwoju.

Konieczne jest jak najszybsze znalezienie możliwości i warunków dla rozwoju społeczeństwa emigracyjnego w celu stworzenia jednolitości organizacyjnej, odpowiadającej istniejącej jednolitości ideowej. Zasadnicze rysy ideowe emigracji są te same, jedne dla wszystkich. Stare linie podziału utraciły znaczenie. Nie tylko, że nie mają wartości, wynikającej z zetknięcia się z zjawiskami życiowymi, z którymi byliśmy bezpośrednio związani w kraju, ale tracą swe podstawy tkwiące w stosunkach przedwojennych.

W kraju nastąpiły tak doniosłe przemiany, takie odejście od układu sprzed lat siedmiu, że nawiązywanie praktyczne do przeszłości staje się nonsensem. Nie bez powodu ludzie z A.K. czy ci, co przybywają z kraju obecnie mają trudności porozumienia się z nami, pragnącymi zachować pojęcia i formy, które przeszły już do historii.

Podczas wojny zachowywaliśmy jak relikwie wszystko to, co wynieśliśmy z kraju. Dziś trzeba się zdecydować na wyrzucenie wielkiej ilości tego bagażu, zachowując jedynie wartości prawdziwe. Selekcja ludzi, pojęć, wartości myślenia i działania da nam dopiero podstawy, na których będzie można budować. Budować społeczeństwo, zdolne przetrwać długo — i powrócić do kraju. Bo wszyscy wiemy, że naród nasz też przetrwa i posiadać będzie tę żywą siłę, która kształtuje państwa i przywiązuje swych synów na zawsze, gdziekolwiek by się nie znajdowali.

JAN KURZAWA

APEL PRYMASA POLSKI DO POLAKÓW NA OBCZYŹNIE

Odwołuję się do uczuć katolickich i ojczystych wszystkich rodaków za granicą. Apeluję do ich organizacyj i pism poczytnych.

Gdziekolwiek jesteście, pomóżcie mi pobudować na nowo kościoły warszawskie. By ta wspaniała a heroiczna ludność stołeczna nie zaznała głodu duchowego dla braku świątyń, cyboriów, ambon. By błogosławieństwo pokoleń zrodziło się z popiołów bohaterów i męczenników, którzy tu w straszliwych bojach umierali za sprawę bożą w świecie.

Na spalenisku stolicy budujemy ufnie nowe życie duchowe.

Pomóżcie mi, Rodacy w kraju i w świecie, stworzyć tu godne warunki czci bożej. Iżby mocami Ducha Pocieszyciela rozpogodziło się moralne oblicze stolicy. Iżby Warszawa górowała nad metropoliami globu prymatem prawdy i duchowego dostojeństwa. Iżby od niej, jako od dziejowej piastunki władzy, wiały na kraj twórcze tajemnice boże, które męczeńskim sercem schłonęła, gdy wśród pożogi kontynentów dogorywała w purpurowej chwale własnej ofiary.

Warszawa, dnia 24 czerwca 1947 r.

AUGUST KARD. HLOND

W związku z powyższym apelem prosimy o składanie wszelkich ofiar pod adresem Administracji Katolickiego Tygodnika **„ŻYCIE": 21, Earl's Court Square, London, S.W.5.**

Każda ofiara zostanie pokwitowana w „Życiu", jak również zostanie podany sposób doręczenia ofiar na ręce J. E. Ks. Kardynała Hlonda.

ZJAZD WIELKOBRYTYJSKI

SPK obejmuje wiele krajów, ale trzon organizacji spoczywa na Wyspach Brytyjskich i od tutejszego Oddziału w znacznej mierze zależy los całości. Z tej przyczyny Walny Zjazd Delegatów Oddziału W. Brytania, który odbył się w dniach 18, 19 i 20 bm., posiadał doniosłe znaczenie i wiele po sobie kazał obiecywać.

Czy wyniki trzydniowych obrad spełniły oczekiwania?

I tak i nie.

Minusem Zjazdu było stosunkowo słabe jego obesłanie. Na ponad 250 Kół przybyło zaledwie 119 Delegatów. Jest to częściowo usprawiedliwione okresem przejściowym, w jakim znajduje się nie tylko SPK, ale całe wychodźstwo polskie w W. Brytanii, które zrzuca mundur i przechodzi do życia cywilnego, a tym samym opuszcza obozy, rozprasza się w terenie i rujnuje dotychczasowe ramy organizacyjne. W tych warunkach wiele Kół istnieje tylko na papierze.

Drugim minusem była wyraźna senność obrad. Wielu kolegów było zdania, że dyskuje Walnego Zjazdu całości Stowarzyszenia były zbyt namiętne i bezkompromisowe, a jednak, mimo przekroczenia preliminowanego okresu obrad, okazało się, że dowodziły one gorącego zainteresowania delegatów sprawami organizacji i w rezultacie doprowadziły do szczerego przedyskutowania szeregu drażliwych problemów. Zjazd Oddziału, choć łatwiejszy organizacyjnie, był znacznie słabiej obesłany a koledzy, którzy nań przybyli. nie zawsze uczestniczyli w obradach całym sercem.

A plusy?

Pierwszym i najistotniejszym było trzymanie się realnych ram, w jakich może i powinien pomieścić się tutejszy Oddział. Sprawy ideologiczne, sprawy deklaracji ogólnoludzkich i wniosków demonstracyjnych załatwił Walny Zjazd całości Stowarzyszenia, zadaniem Zjazdu Oddziału było szukanie praktycznych rozwiązań trudności życia codziennego, było ustalenie form gospodarki i zbudowanie takich jej fundamentów, by teren tutejszy, najbogatszy, ale i najbardziej odpowiedzialny, mógł naprawdę stać się oparciem całej światowej organizacji.

Zadanie to zostało wypełnione. Specjalnie w sprawach gospodarczych delegaci wypowiadali się rzeczowo i uchwalili wnioski, które naogół są słuszne i dadzą się zrealizować. Dowodem dużego wyrobienia było obciążenie się specjalną daniną, którą złożą Koła na rzecz władz Oddziału, by umożliwić im wykonanie zadań przerastających ich możliwości finansowe. Uchwalono również rozsądny i zgodny z możliwościami budżet.

Przed Zjazdem wypowiadano obawy, że może on przekroczyć normalne ramy i uchwalić wnioski, które mogłyby stanąć w kolizji ze statutem centralnym i uniemożliwić współpracę dwóch zarządów (głównego i brytyjskiego), które przebywają w tym samym mieście a nawet w tym samym budynku, a których zakres działania jest różny. Obawy te okazały się nieuzasadnione. Parokrotnie dochodziło do spięć i za każdym razem argument, że dyskusja wykracza poza ramy, w których utrzymuje ją statut centralny, był decydujący i uznawany bezapelacyjnie przez wszystkich delegatów.

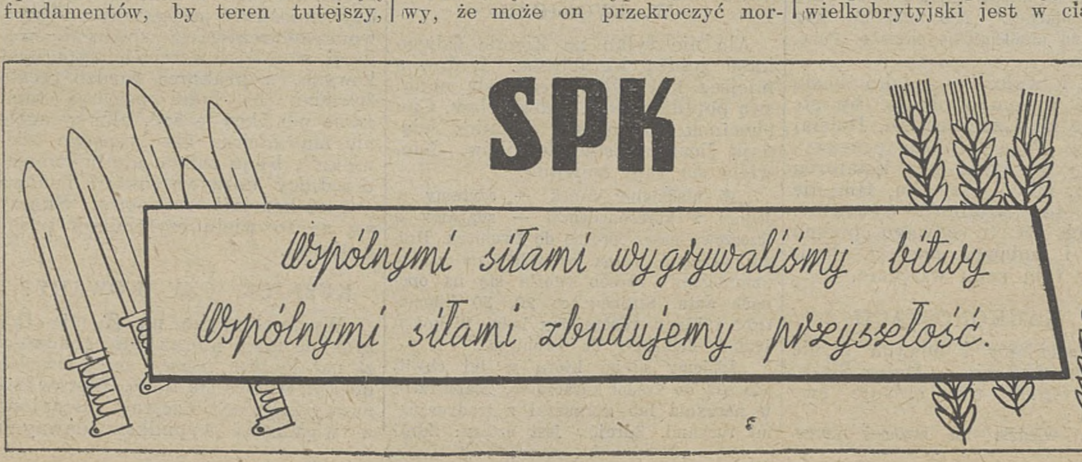
Wiele rzeczowych uwag poświęcono sprawom organizacyjnym. Teren wielkobrytyjski jest w ciągłym ruchu, pustoszeją obozy, zapełniają się coraz to nowe hostele, coraz liczniej po farmach i fabrykach rozbrzmiewają polskie głosy. Co należy uczynić, by utrzymać dotychczasowy stan posiadania, by na miejsce rozpadających się Kół powstawały nowe? Jednym ze sposobów jest organizowanie ośrodków polskich we formie domów kombatanckich, zakładanych w miastach, wokół których najgęściej osiedlają się Polacy, bądź też choćby świetlic i ognisk, które by przyciągały rozproszonych w pracy kombatantów. Głosy delegackie były w tej sprawie zgodne i stanowcze.

Równie stanowczo podkreślano konieczność uchwycenia sprzętu, który był prywatną własnością oddziałów, a obecnie, w momencie ich likwidacji, winien stać się własnością Stowarzyszenia. Sprawne przeprowadzenie tej akcji znakomicie wzmocni fundusze organizacji.

A wybory?

Na zjazdach tak licznych a jednocześnie inauguracyjnych są one zwykle kompromisem pomiędzy poszczególnymi, niezgranymi jeszcze grupami. Wybrano 30-tu członków Rady, która w najbliższych dniach powoła Zarząd. Od tych Kolegów zależą losy Oddziału, bo organizację tworzą ludzie a nie, najlepiej nawet pomyślane uchwały. We wszystkich poczynaniach towarzyszyć im będą nasze jak najlepsze życzenia.

JÓZEF GARLIŃSKI



Przegląd tygodniowy

Kryzys brytyjski - przyczyny i następstwa

GDY KREDYT SKOŃCZYŁ SIĘ...

Nagłe zaostrzenie kryzysu gospodarczego Wielkiej Brytanii przysłoniło chwilowo inne zagadnienia światowe. Cokolwiek sądzić o przyczynach tego kryzysu, jest on czynnikiem, który wywrzeć musi poważny wpływ na rozwój sytuacji międzynarodowej. A że żyjemy w tym kraju i jego sytuacja gospodarcza wywiera z konieczności wpływ na los każdego z nas, więc też nie możemy być tylko obojętnymi widzami.

Począwszy od dnia, w którym pożyczka amerykańska właściwie skończyła się — po zawieszeniu przewidzianej w warunkach pożyczki wymienialności funtów na dolary niewielka reszta pożyczki została zamrożona — naród brytyjski musi utrzymać się własną pracą. Do tej pory był jak człowiek, który tydzień po tygodniu przejada więcej, niż zarabia, pokrywając różnicę z pożyczki u przyjaciela. Teraz kredyt skończył się. Trzeba zrównoważyć obie pozycje — w tym wypadku przywozu i wywozu. Pytaniem jest, czy takie zrównoważenie jest w ogóle możliwe. Jeżeli zaś nie jest — to jedynym wyjściem musi być pomoc przyjaciela w nowej formie. Taką pomocą byłby plan Marshalla. Ale jego realizacja przewleka się, nie bardzo można się spodziewać, by wszedł w życie przed wiosną 1948, a do tego czasu powiązanie końca z końcem jest problemem trudnym do rozwiązania.

CZY W. BRYTANIA MOŻE SIĘ SAMA UTRZYMAĆ?

A więc przede wszystkim — czy W. Brytania może się sama utrzymać? Trzeba pamiętać, że był to zawsze kraj żyjący z handlu. Handel dla W. Brytanii to dosłownie kwestia życia i śmierci, jak niemalże dla żadnego innego narodu na świecie.

Większość krajów świata może wyżywić się sama. Lepiej lub gorzej — ale w każdym razie na tyle, aby nie umrzeć z głodu. Natomiast mała wyspa nie może wyżywić 45 mil. ludzi. Bez zboża z Kanady czy Argentyny, szybko zabrakłoby chleba w Anglii. I tak jest ze wszystkim.

Import zboża i w ogóle żywności, jak również surowców dla przemysłu opłacali Brytyjczycy przez długie dziesiątki lat nie tylko eksportem maszyn, węgla, tkanin itd. Opłacali go również usługami, dochodami ze swych kapitałów i inwestycji. Byli posiadaczami kopalń, zagranicznych linii kolejowych, towarzystw asekuracyjnych. Ale w czasie wojny musieli wyprzedać się ze swych akcji, udziałów, przedsiębiorstw, aby mieć waluty na opłacenie nieodzownego dla prowadzenia wojny importu surowców i żywności. Ich przemysł pracował dla wojny i eksport przestał istnieć. W rezultacie W. Brytania, która zawsze była wierzycielem świata, stała się dłużnikiem. Za konieczną do życia żywność musi płacić eksportem. Ale choć dla eksportu poświęca tak dużo, choć w sklepach tak wielu towarów nie można otrzymać, ponieważ idą za granicę, to jednak wszystko to nie wystarcza. I dlatego teraz, gdy pożyczka amerykańska skończyła się, naród brytyjski stanął wobec groźby poważnej redukcji dowozu żywności, czyli obniżenia poziomu życia do norm, od których dawno odwykł.

KRÓL—WĘGIEL

Nie znaczy to jednak, by Brytyjczycy nie byli w stanie przezwyciężyć tego kryzysu. Coraz lepiej rozumiany jest fakt, że jedną z podstaw kryzysu jest niedostateczna produkcja węgla. „Król-węgiel" — jak się mówi w tym kraju — był fundamentem bogactwa i rozwoju W. Brytanii w XIX wieku.

Nie bez powodu min. Bevin co pewien czas żali się, że gdyby mógł zaofiarować zagranicy 30 milionów ton węgla, to jego autorytet byłby całkiem inny. W rzeczywistości W. Brytania, która zawsze wywoziła węgiel, ostatnio go importowała. Rezultat: Szwecja, która ongiś kupowała węgiel brytyjski, dając w zamian drzewo, zachowuje to drzewo na opał, wobec czego Brytyjczycy nie dostają drzewa na budowę domów czy na gazety; Dania musi sprowadzać węgiel z Ameryki, podobnie Francja. Każdy kraj rzucił się też na sposobność wymiany funtów na dolary by móc kupować w Ameryce to wszystko, czego W. Brytania nie jest w stanie dostarczyć.

Jakie są przyczyny tego kryzysu węglowego? Składa się nań wiele czynników. Brak nowoczesnych urządzeń, wspomnienia górników o strajku 1926 roku, który przegrali, ponieważ były duże zapasy węgla, wobec czego nie chcą, by istniały takie zapasy, starzenie się górników i niechęć Brytyjczyków do ciężkiej pracy w górnictwie itd. Amerykanie sądzą, że nie w porę wprowadzono pięciodniowy tydzień pracy, zwłaszcza że — jak stwierdził w tych dniach min. Morrison — górnicy nie dotrzymali przyjętych w związku z tym zobowiązań co do wzmożenia produkcji. Silne wpływy komunistyczne wśród górników też odegrały swą rolę: Moskwie nie zależy bynajmniej na tym, by W. Brytania miała węgiel ... Dopiero teraz podjęta została zdecydowana akcja dla przełamania oporów przeciw zatrudnianiu Polaków i wysiedleńców.

WIERZYCIEL I DŁUŻNIK

W ogóle jesteśmy świadkami wielkiej akcji na rzecz zwiększenia produkcji węgla. Amerykanie kategorycznie domagają się największego w tej dziedzinie wysiłku, czyniąc z eksportu węgla brytyjskiego do Europy bodajże warunek dalszej pomocy. Plan Marshalla — jak wiadomo — opiera się w pierwszym rzędzie na wzajemnej pomocy krajów europejskich, a zdaniem Amerykanów wkład brytyjski musi polegać w pierwszym rzędzie na dostarczeniu węgla.

Ze strony Ameryki konieczny będzie wielki takt, aby uniknąć nadmiernych zgrzytów. Niebezpieczna byłaby postawa „ja płacę — ja wymagam". Choć Amerykanie mogą uważać, że skoro żąda się pomocy, to oni mają prawo wtrącać się do tego, jak pomoc jest użyta, czy sami Brytyjczycy robią wszystko, aby trudności przezwyciężyć itd, to jednak winni unikać pozorów mieszania się do spraw wewnętrznych przez domaganie się np. zaniechania reform społecznych planowanych przez Labour Party. Dałoby to broń do ręki tylko tym, którzy za wszelką cenę chcą poróżnić W. Brytanię i St. Zjednoczone.

Pod tym względem bardzo pouczająca jest kampania prasy sowieckiej która aż się zachłystuje z radości w związku z kryzysem brytyjskim. Według propagandy sowieckiej kryzys ten jest wynikiem zależności od Ameryki, a jedynym ratunkiem dla W. Brytanii jest zerwanie z Ameryką i współdziałanie z „demokracjami" wschodnio-europejskimi.

WZAJEMNA ZALEŻNOŚĆ

Wydaje się jednak, że nadzieje Moskwy na pokłócenie obu krajów anglosaskich, które już wielokrotnie w ostatnich latach okazały się zawodne, również i teraz nie spełnią się. W rzeczywistości bowiem obecny kryzys jeszcze bardziej uwypukla zależność W. Brytanii od St. Zjednoczonych — zależność, której nic nie jest w stanie przekreślić.

Rosjanie obiecywali wprawdzie W. Brytanii milion ton zboża, ale jest wysoce wątpliwe, czy mają w ogóle zboże na wywóz. Szeregu najważniejszych produktów nigdzie poza Ameryką W. Brytania otrzymać nie może. Tylko St. Zjednoczone mogą ją odciążyć przez przejęcie kosztów utrzymania połączonych stref w Niemczech. Tylko z amerykańską pomocą techniczną można unowocześnić produkcję węgla w W. Brytanii i zwiększyć produkcję Ruhry. Takich przykładów zależności można by przytoczyć wiele.

Z drugiej strony z każdym dniem staje się rzeczą bardziej oczywistą, że St. Zjednoczone nie mogą pozwolić na załamanie się gospodarcze W. Brytanii. Wkroczyły one przecież zdecydowanie na drogę tworzenia potężnej koalicji dla ostatecznego zatrzymania ekspansji sowieckiej. Wszędzie rozwijają w tym kierunku gorączkową akcję: ONZ, gdzie na tle sprawy greckiej i walki z zasadą *veta* dojrzewają szybko koncepcje przekształcenia tej organizacji w blok anty-sowiecki; przez wzmacnianie Włoch i montowanie bloku śródziemnomorskiego włosko-grecko-tureckiego; przez organizowanie półkuli zachodniej w blok obronny, czemu służy obecna konferencja panamerykańska w letniej stolicy Brazylii; przez akcję w Japonii, Chinach i Korei; przez popieranie planu europejskiej unii celnej, wysuniętego na konferencji w Paryżu przez delegata Włoch, itd. Gdyby w tym momencie St. Zjednoczone nie dopomogły W. Brytanii, to jedno z najważniejszych sklepień tej budowli, którą Ameryka wznosi, groziłoby zawaleniem.

W innych okolicznościach Ameryka mogłaby pozostawić W. Brytanię własnemu losowi. Ale dziś, gdy toczy się gigantyczny pojedynek między St. Zjednoczonymi a Sowietami, nie stać Amerykanów na to, by odpadł tak ważny sojusznik. I dlatego wydaje się, że w wyniku kryzysu obecnego może nastąpić jeszcze ściślejsze związanie się obu narodów anglosaskich.

Londyn, 23 sierpnia 1947.

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Zaprzątnięta wewnętrznymi kłopotami, a w ogóle od dawna już zobojętniała na dokonywane za żelazną kurtyną zbrodnie, brytyjska opinia publiczna nie zareagowała należycie na to, co się w tej chwili w Polsce dzieje.

Z dwoma czy trzema wyjątkami pisma w ogóle nie notują doniesień o „procesach" i ignorują fakt, że życie polityczne w kraju, podobnie jak i w innych państwach strefy sowieckiej zredukowane zostało do oddawania pod sąd każdego kto jest przeciwnikiem komunistycznego reżimu.

Niewątpliwie wyrok śmierci na dzielnego przywódcę opozycji bułgarskiej Petkowa wywołał oficjalne protesty i parę artykułów oraz listów do redakcji. Gdy dojdzie do procesu Mikołajczyka w Polsce będzie ich może trochę więcej. Jednakże na próżno oczekiwałoby się jakiejś bardziej stanowczej reakcji. W obronie ofiar zbrodni komunistycznych nie wylegną tłumy na Trafalgar Square, nie pojawi się żądanie zerwania stosunków ze zbrodniczymi reżimami oraz z głównym winowajcą, tj. Kremlem. Jakże odległe wydają się czasy gdy wyrok na Dreyfusa czy na anarchistów Sacco i Vansetti wywołał burzę protestów w świecie!

Wśród nielicznych odgłosów procesu krakowskiego w opinii brytyjskiej są do zanotowania doniesienia „Scotsman'a" i komentarz „Time and Tide". Wielki dziennik szkocki podaje sprawozdanie swego specjalnego korespondenta, który przytaczając różne znane czytelnikowi polskiemu szczegóły i przewidując że PSL może zostać rozwiązane, zwraca uwagę na miejsce w którym proces się odbywa:

„Wybór Krakowa jako miejsca rozprawy sądowej jest również znamienny. W Krakowie rząd poniósł porażkę podczas głosowania ludowego w czerwcu 1946. Uniwersytet Jagielloński ma opinię najbardziej „reakcyjnego" w Polsce. Syn Bolesława Bieruta, który jest studentem U.J. uczy się pod przybranym nazwiskiem z obawy przed wrogimi wystąpieniami kolegów. Wyznaczenie Krakowa jako miejsca rozprawy sądowej jest więc jakby rzuceniem wyzwania inteligencji krakowskiej przez rząd".

Komentarz tygodnika „Time and Tide" jest bodaj jedynym jaki do tej pory ukazał się w prasie na temat procesu 17-tu. Pismo łączy ten proces z rozbiciem partii drobnych rolników na Węgrzech, wyrokiem na Petkowa, zlikwidowaniem rumuńskiej partii chłopskiej stwierdzając, że chodzi tu o zorganizowaną kampanię dla zlikwidowania partii chłopskich we wszystkich tych — przeważnie rolniczych — krajach. W konkluzji „Time and Tide" uderza w nutę rezygnacji:

„Miarą tragedii Polski i sukcesu sowieckiego jest fakt, że mocarstwa zachodnie dla zapewnienia wolności swemu polskiemu sojusznikowi nie mogą uczynić nic więcej, niż dla byłych nieprzyjaciół — Bułgarii, Rumunii i Węgier, które teraz wszystkie jednako znalazły się w niewoli komunistycznego despotyzmu".

Z tą nutą rezygnacji trudno jest się zgodzić. Mocarstwa Zachodu mogłyby zdziałać wiele, gdyby gotowe były podjąć sankcje przeciw wszelkim zbrodniom dokonywanym przez czerwonych despotów.

LECTOR

Polska pod okupacją

Kraj pod znakiem wywczasów

Zapomnijmy na chwilę o polityce, „Bezpiece", „sowieciarzach" i innych smutnych przejawach rzeczywistości polskiej. Obok nich toczy się w Kraju normalne, codzienne życie — tak jak dawniej, tylko w innych, zmienionych warunkach. Obok pracy są więc i wywczasy. Ludzie jeżdżą na wakacje, urlopy, o których chcemy dzisiaj parę słów napisać.

Z Ziemiami Odzyskanymi przybyło Polsce wiele pięknych zdrojowisk i miejscowości wycieczkowych. Niewielkie przed wojną plaże nad Bałtykiem wydłużone zostały po Szczecin i wyspy u ujścia Odry. Na Dolnym Śląsku, słynnym nie tylko z bogactw kopalnianych, ale także z piękności przyrody odzyskaliśmy mnóstwo cudownych miejscowości.

Na piękności Dolnego Śląska poznali się już Niemcy, którzy z miejscowości dolno-śląskich, położonych u stóp Karkonoszy uczynili centralny punkt uzdrowiskowy i wypoczynkowy znany szeroko także za granicą.

W promieniu kilkunastu kilometrów, które łatwo przebyć gęstą siecią wszelkich środków komunikacyjnych, przyroda nagromadziła tu nie tylko swe cuda zewnętrzne, ale również cudowne środki lecznicze na wszelkie niemal ludzkie dolegliwości.

W MIĘDZYZDROJACH

Prasa krajowa, obecnie w pełni sezonu wakacyjnego, przynosi liczne opisy tych nowych ośrodków turystycznych. Jednym z nich jest miejscowość Międzyzdroje na wyspie Wolyń. Przed wojną mieszkało stale w Międzyzdrojach około 7 tysięcy osób, a w letnim sezonie przybywało około 20 tysięcy kuracjuszy, ściąganych cudownym nadmorskim położeniem tej miejscowości i pięknymi lasami. Pozostawiali oni co roku sporo gotówki, tak że przed wojną miejscowość ta rozwijała się z roku na rok. Wojna poważnie zrujnowała Międzyzdroje, tak że teraz stale mieszka tam tylko 700 osób. Niemniej jednak obecnie, na sezon letni przybywa tam około trzech tysięcy letników z całej Polski, chociaż warunki pobytu są jeszcze nieszczególne, pensjonaty niezbyt dobrze zorganizowane, ciepłe łazienki nieodbudowane. Jedno z pism tak opisuje tę miejscowość:

„Kochany letniku! Chcąc jechać do Międzyzdrojów, musisz być zdrów. Nie zrażaj się trudnościami — jedź i walcz. Nie bój się, że nie dopisuje aprowizacja i żywność tam droższa, niż gdzie indziej. Staraj się tak urządzić, byś śniadania i kolacje mógł sam sobie przyrządzić. Jedz dużo ryb. Są tam nieliczni rybacy, choć rzadko trzeźwi. Nie przeraź się, gdy zobaczysz, jak harcerki zabijają węgorze (szorują i ugniatają rękoma żywe parę godzin w piachu). Nie nudź się, gdy pójdziesz na akademickie ognisko. Pokochasz morze".

„Jedź i walcz" — jako hasło spędzenia urlopu wydawać by się mogło nie zbyt zachęcające. Dzisiaj jednak w Polsce ludzie przyzwyczaili się do życia bez komfortu i dlatego, mimo wszystko, tłumnie jadą na te „trudne" wywczasy. Czeka ich za tę odwagę piękno Bałtyku i cudowna pogoda, dopisująca w tym roku wszędzie.

W KARKONOSZACH

Entuzjaści gór i nowych okolic wędrują na wakacje na Dolny Śląsk. Jeden z nich tak opisuje swe wrażenia:

„Droga wiedzie ku stromej górze. Oczekuje nas dwudniowa „wspinaczka", zakończona najwyższym akordem, największym zwycięstwem, zdobyciem najpoważniejszego szczytu w Karkonoszach — Śnieżki (1605 m), tkwiącej w ruchomej zasłonie chmur.

„Śnieżka jest kapryśna jak piękna kobieta. Najczęściej otula się tajemniczą mgłą, przez którą przebijają złote promienie słońca. Rzadko odsłania się całkowicie, rzadko ukazuje się stęsknionym oczom turysty bez woalu, harda, niedostępna, wyniosła. Do niej dążą ze wszystkich stron, po drogach i dróżkach gromady ludzi, zziajanych, zmęczonych, z trudem stąpających po kamienistych zboczach — entuzjastów, którym widok Śnieżki wynagradza wszelkie przebyte udręki.

Niestety i tu jeszcze nie wszystko zorganizowane. Spowodowane jest to w dużej mierze zbiurokratyzowaniem życia w Polsce. W schronisku na Śnieżce w sprawie urządzenia noclegów było już dziesięć komisji z różnych urzędów, ale pościeli i koców jak nie ma tak nie ma.

W IWONICZU

Ale nie tylko na Ziemie Odzyskane jeżdżą kuracjusze. I dawne miejsca kuracyjne cieszą się nadal swą popularnością. Inowrocław, Ciechocinek, Zakopane, Iwonicz ściągają liczne rzesze letników. Niewiele się tam zmieniło.

„W niedzielny ranek — czytamy w jednej z korespondencji — zdążamy z Rzeszowa przez Krosno do Iwonicza. Droga wyboista, pełna ostrych kamieni, w „morderczy" sposób odbija się na oponach auta. Stajemy co 20, 30 kilometrów i klnąc, reperujemy koła. W końcu jednak dobijamy do Iwonicza...

„Idziemy aleją, którą w tej chwili zdążają do źródeł kuracjusze, zoapatrzeni w naczynia lub garnuszki z tradycyjnymi rurkami. Zdrojów jest cztery: Zdrój „Karola" daje wodę jodowo-bromową, „Amelia" raczy kuracjuszy wodą słono-alkaliczną, zdrój „Emmy" ma właściwości podobne do zdrojów poprzednich, „Józefa" daje wodę żelazistą, sztucznie dogazowaną. Do środków leczniczych Iwonicza należą również k ą p i e l e.

„Obrzęd porannego picia wód leczniczych gromadzi przy źródłach wszystkich kuracjuszy. Widać tu wielu ułomnych, których z odległych stron ściągnęła uzdrawiająca sława iwonickiej borowiny, widać urzędników i robotników, którzy z całą skrupulatnością wyzyskują 4-tygodniowy pobyt, wyrwany całorocznym trudom i kłopotom. Przeważająca jednak część kuracjuszy, to dzieci. Są tutaj bez rodziców — na koloniach, zorganizowanych przez fabryczne związki zawodowe".

Podobnie jak w innych dziedzinach życia gospodarczego, tak i turystyka i wywczasy w Polsce zostały w dużej mierze upaństwowione. Hotele i pensjonaty zajęte są albo przez Państwowy Zarząd Uzdrowisk, albo przez różne urzędy, ministerstwa, instytucje, fabryki. Słuszne w zasadzie dążenie, aby umożliwić najszerszym warstwom społeczeństwa spędzenie wakacji w miejscowościach wypoczynkowych, w praktyce bardzo często zawodzi, bo ludzi posyłają tam, gdzie nie chcą jechać, albo w ogóle nie ma miejsca dla „szarego człowieka", bo je zajęła administracja, urzędnicy uprzywilejowani i nowa „arystokracja" reżimowa. Skarży się na to wielu czytelników prasy krajowej.

KUŹNICK CZY KOWARY?

Wycieczkowicze na Ziemie Odzyskane mają nieraz duże trudności z ustaleniem nazwy miejscowości, do której chcą się udać. Wprawdzie nazwy niemieckie zostały zastąpione w większości wypadków dawnymi nazwami polskimi, jednakże często dygnitarzom miejscowym to się nie podoba i samowolnie chrzczą miasta i wsie, według swego widzi mi się i to zmieniając nazwę parokrotnie, tak że w końcu nie wiadomo, jak co się nazywa.

„Nikt nie wytłumaczy — czytamy w jednym z dzienników — czemu np. dawne niemieckie Schmiedeberg przemianowywano kolejno na: Kuźnick, Kowalowa Góra, Krzyżatka, aby wreszcie skończyć na nazwie Kowary? Agnotendorf, słusznie nazwany początkowo Agnieszkowem, nazwano Jagniątkowem. Zmieniono nazwę Matejkowic, zacierając pewną tradycję, gdyż tutaj jeśli się nie mylę, odnaleziono wywiezione przez Niemców wielkie obrazy historyczne Matejki. Miejscowość Arnsdorf nazwano początkowo Jurantowem, później — Hlondowem. Nikt mnie nie posądzi o specjalną sympatię dla kardynała Hlonda, ale zmieniać obecnie nazwę tej miejscowości na Milków (czy na intencję administratora apostolskiego diecezji Wrocławskiej ks. Millika) — jest jednak grubą nieprzyzwoitością!

„Najjaskrawszym tutaj przykładem jest historia z miejscowością Chojnasty. Jest ona związana historycznie z zamkiem Chojnasty (niem. Kynast), dźwigniętym przez Bolesława Krzywoustego na miejscu, gdzie wg. przypuszczeń, które może już w najbliższym czasie zostaną potwierdzone przez wykopaliska — wznosiło się w IX wieku prasłowiańskie grodziszcze. Dlaczego więc ktoś nieodpowiedzialny zmienia nazwę Chojnasty na nic nie mówiący, nie związany z żadną historyczną, prapolską i prasłowiańską tradycją — Sobieszów?"

Indywidualizm polski został posunięty trochę za daleko. Prasa woła wielkim głosem o zakończenie tej szkodliwej zabawy — choćby dla dobra wycieczkowiczów!

TADEUSZ NALER

NASZ ZNAK

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW

ROK I — 30 SIERPNIA 1947 — Nr. 20

Swoje sprawy - w swoje ręce

NIE BĘDZIEMY PŁACIĆ

Okazało się, że źle trafiłem.

Ten hostel na skraju miasteczka Baldock, schludny, czysty, dobrze utrzymany, obramowany zielenią, to nie ten, którego szukam. To nie *„P.R.C. Baldock Camp”*, zamieszkały przez Polaków. To jest hostel robotników angielskich. Jeszcze paręset metrów dalej poza miasteczko i — jest. Ale jakże inny niż ten, który przed chwilą oglądałem. Kontrast rażący...

Wiedziałem, że zastanę hostel źle utrzymany, jeden z najgorszych, jakie objęli w swe posiadanie ucywilnieni żołnierze PKPR, ale nie spodziewałem się, że zobaczę aż coś takiego. Już sam widok z daleka sprawia przykre wrażenie, więcej, jest odrażający. Stare, zbutwiałe baraki po-jenieckiego obozu, dziurawe dachy, wokół baraków ściągnięte widać niedawno w pośpiechu na kupę zwoje kolczastych drutów, jakie okalały jeszcze do niedawna pomieszczenie, któremu szyld przy bramie wejściowej usiłuje nadać miano hostelu.

Jest niedziela. Dzień, kiedy mieszkańcy obozu (właściwsza to nazwa i jej tu będę używał w odniesieniu do miejsca zamieszkania robotników polskich w Baldock — nigdy nie wiadomo o jaki obóz chodzi...) mogą poświęcić nieco czasu sobie, na uporządkowanie garderoby, sprzątnięcie baraków, wypoczynek.

Chodzimy między sznurami z rozwieszoną po praniu bielizną. Słucham opowiadań, pytam, notuję.

— Widzi pan, przed paru tygodniami uchwaliliśmy, że nie będziemy za pobyt w obozie płacić 25 szylingów, jak to od nas wymagają i jak zobowiązaliśmy się, ale tylko 13 szylingów. Nie znaczy to wcale, że 25 szylingów uważamy za kwotę wygórowaną. Można tyle za tydzień zapłacić, ale w warunkach, choć trochę przypominających warunki hostelowe. Warunki nasze jednakże bardzo daleko odbiegają już nie tylko od tych, jakie chcielibyśmy mieć, ale i od warunków w hostelach naszych kolegów, nie mówiąc już o Anglikach.

WODA W ŁÓŻKACH ZAMIAST W PRALNI

— A na co się panowie tu specjalnie skarżą?

— Ech, panie, bolączek tu jest masa, ale największe są dwie: ciasnota w barakach, mieszka nas po 22 w baraku, i pranie bielizny. Oto właśnie nasza pralnia...

Wchodzimy do małego pomieszczenia — pralni obozowej. Tu ponad 170 ludzi, pracujących całymi dniami, ma wyprać swą bieliznę w ciągu czterech godzin jednego dnia, kiedy jest ciepła woda. Rzeczywiście nie bardzo to chyba jest możliwe.

Mam już niezłą wprawę w praniu bielizny, sam piorę z pewnymi przerwami (*beata Italia*!) bez mała siedem lat, ale tu — zwłaszcza w tak licznym towarzystwie — nie dałbym chyba rady.

A oto jeden z baraków. Ciasnota rzeczywiście bardzo duża. Jest miejsce zaledwie na jeden stół. Gdy przez ażur sufitów zaczyna przeciekać woda do wnętrza baraków — nie ma nawet miejsca na odsunięcie łóżka na bok, spod strugi wody. Na łóżkach pojawiają się wówczas miski, menażki, blaszanki różnego kalibru — zbiorniki wody deszczowej, aby pościel nie zamakała. Pościel — czyli niezmieniane od czterech miesięcy koce, bo prześcieradeł nie ma żadnych.

Szafek na ubranie brak, każdy z lokatorów zabezpiecza jak może swoje ubranie cywilne, aby nie zamokło i nie zakurzyło się. Gdzieniegdzie przy łóżkach jakaś deska czy blaszanka na cegłach — to „stolik” czy „szafka nocna”.

ANGLICY NIE CHCĄ MIESZKAĆ Z POLAKAMI

— A jak wygląda współżycie z angielskimi sąsiadami? Obóz bowiem dotyka ostatnich domów miasteczka.

— Nie skarżymy się. Raczej oni się skarżą i to aż policji, gdy gra u nas radio po godzinie dziesiątej wieczorem. Ale przecież tyle naszego, nie? Całymi dniami pracujemy, większość daleko, poza miasteczkiem, niektórzy ponad 20 mil od obozu. Dla takich dzień pracy z dojazdami trwa 13 godzin.

— Czasami to, proszę pana, cholera człowieka za przeproszeniem bierze — wtrąca się do rozmowy lokator baraku, wykorzystujący w łóżku dzień świąteczny — tu warunki marne, my tracimy masę czasu, a nasi pracodawcy — dużo pieniędzy na nasze dojazdy do miejsca pracy, toteż zwrócili się oni do pewnego hostelu angielskiego, gdzie są wolne miejsca, z propozycją przyjęcia nas na mieszkanie. Niestety jednak robotnicy angielscy oświadczyli, że nie chcą mieszkać razem z Polakami. W *battle-dressach* tośmy byli dobrzy, a przy pracy, to nie — rzuca z goryczą.

— Czy wszyscy mieszkańcy obozu są samotni?

— Tak. To znaczy mają rodziny, ale poza domem. I to ich szczęście, bo wobec stosunków jakie się teraz wytworzyły nie wiadomo, czy tu zostaniemy. Zresztą za każdego mieszkańca obozu trzeba płacić te 25 szylingów. Utrzymanie jednej lub dwóch osób rodziny pochłania niemal cały zarobek. Są tu tacy w sąsiednich hostelach, co mają rodziny na utrzymaniu, zostaje im po parę szylingów na tydzień. Mimo to oczywiście każdy z nas pragnie jak najszybciej połączyć się ze swymi najbliższymi. Samotne życie obmierzło człowiekowi.

Chcę wrócić do poprzedniego tematu, do sprawy owej uchwały o niepłaceniu pełnej należności za pobyt w obozie.

— Czy sąsiednie hostele polskie mają lepsze warunki?

— Najbliższe raczej nie, wszystkie liche.

PROTEST WYRAŻONY W SZYLINGACH

Później dowiedziałem się, że lokatorzy pobliskiego obozu Folmery również zaprotestowali przeciw złym warunkom mieszkaniowym przez uchwałę niepłacenia pełnej kwoty. Celowo piszę: „zaprotestowali”, gdyż zarówno mieszkańcy Folmery jak i Baldocku wyraźnie zaznaczają, że nie jest to z ich strony żadna próba obniżenia należności za pobyt w obozie, pragną jedynie w tej dostępnej dla nich formie zaprotestować przeciw istniejącemu stanowi rzeczy, wymóc jeżeli nie natychmiastową poprawę warunków, to przynajmniej jakieś zobowiązanie w tym kierunku. Wyczerpali już wszystkie dostępne im środki i poza mglistymi obietnicami nic dotychczas nie otrzymali. Wszelkie naprawy baraków miały być dokonane po przejęciu obozu przez *„National Hostel Corporation”*, ale instytucja ta ze względu na zły stan obozu nie chciała go przejąć. Stąd zwłoka, stąd brak wszelkich ulepszeń, stąd rozgoryczenie i niezadowolenie mieszkańców obozu i tu — źródło tego swoistego protestu.

War Office poleciło *„National Hostel Corporation”* przejąć obóz w stanie dotychczasowym, o, tu już buduje się barak dla przyszłego menażera, już wkrótce, wkrótce, a tymczasem...

— Płacimy teraz po 13 szylingów i nie zamierzamy płacić więcej dopóki nie zagwarantują nam poprawy warunków mieszkaniowych. Na jedzenie nie narzekamy, nie za wiele go co prawda, ale tak samo jedzą Anglicy. Żądamy tylko rozwiązania dwóch trapiących nas problemów: ciasnoty i prania bielizny. Każą nam czekać, dobrze, ale zaczekamy także i z zapłatą.

LEPSZY OBÓZ PKPR NIŻ HOSTEL

— I jakiż wynik waszej uchwały, waszego protestu?

— Na razie — nikły. Otrzymaliśmy pismo, że jeżeli nie będziemy płacić pełnej należności, to mamy się wyprowadzić w ciągu tygodnia z obozu.

— No — i?

— No i nic. Rano jedziemy do pracy, wieczorem wracamy i płacimy 13 szylingów.

— Czy Anglicy w swoich hostelach też płacą 25 szylingów tygodniowo?

— Nie, oni płacą 30 szylingów, ale mają pralnię, prześcieradła, łazienki i — co najważniejsze — mieszkają po dwóch w pokoiku. Widzi pan — już tyle lat człowiek nie miał normalnego życia, ciągle tylko w namiotach i barakach. Może to z jednej strony i lepiej, łatwiej znieść te warunki, w jakich tu jesteśmy teraz, ale chciałoby się żyć bardziej normalnie, przecież już nie jesteśmy w wojsku, przeszliśmy do życia cywilnego, a tu — co najmniej tak samo, jak w wojsku, a czasami jeszcze gorzej. Powinni nam w hostelach dać takie warungi, aby działał na nas straszak powrotu do PKPR, który w takich warunkach, jak tu pan widzi, przestaje być straszakiem, a staje się nieraz rzeczą pożądaną. Przecież chyba nie taki był cel przenoszenia nas do życia cywilnego.

TA SPRAWA NIE ZOSTAŁA ZAGRZEBANA

Tak. Zniecierpliwienie i zdenerwowanie staje się w takich warunkach zrozumiałe. Na zebraniu z przedstawicielami Zarządu Głównego i Oddziału „Wielka Brytania” Stowarzyszenia Polskich Kombatantów mieszkańcy obozu z całą powagą i zrozumieniem sytuacji przedstawili swoje stanowisko, dając wyraz wierze, że nie zostaną odosobnieni w rozpoczętych staraniach o poprawę bytu.

Baldock opuszczałem z przekonaniem, że od wyjaśnienia całej tej sprawy, która zaprząta teraz umysły mieszkańców obozu i jest ich największą troską obok innych rozlicznych trosk i kłopotów dnia codziennego, zależy los tych 170 ludzi (— nie myślę w tej chwili o innych hostelach). Chcą oni wiedzieć, czy mogą budować jakieś plany na najbliższą przyszłość, czy zatrzymają się w rejonie swej obecnej pracy na dłużej, czy będą mogli sprowadzić tu swe rodziny, podpisać umowy z pracodawcami, bo w tych warunkach, jak teraz...

Żegnam się z mymi informatorami.

— Będziemy czekać. Sprawa poszła do Londynu.

Ktoś obok zamachał gwałtownie rękoma:

— Do Londynu? Guzik, bracie, szkoda gadać! Sprawa poszła, ale nie wróci. Sprawę zagrzebią, że i uszu nie będzie widać. Zobaczysz! Rok będziemy czekali bez skutku.

Miło mi teraz napisać, że ta sprawa, sprawa obozu Baldock, nie została „zagrzebana”. Może inne... Mieszkańcy obozu otrzymali zapewnienie poprawy swego bytu. *„National Hostel Corporation”* na pewno już przejmie obóz, załata im dachy, a pod dachami spać ma nie więcej, niż po szesnastu w baraku.

„Tylko nie wiadomo — piszą mi teraz do Londynu — czy będziemy przy nowej organizacji mieć świetlicę. Teraz ją mamy, prowadzoną bardzo dobrze, chcielibyśmy utrzymać. Gazety zaprenumerujemy sami. Od SPK i YMCA otrzymaliśmy bibliotekę — koło niej krzątamy się już sami. Tylko Kombatanci mogliby przysyłać nam swój ciekawy „Komunikat Informacyjny” bezpośrednio, bo teraz ostatni numer mamy z datą 1 maja”...

Już wysłali...

WITOLD ZAHORSKI

Sklep przy ulicy Nadziei

II nagroda na Konkursie „Naszego Znaku”

10 maja 1946

Przyjechał do mnie Andrzej. Nie widziałem się z nim kopę czasu. Chodzi o lasce i na prawym oku ma czarną przepaskę. To spod Arnhem — jak mi wyjaśnił. Przywiózł on rewelacyjną propozycję: kupna sklepu, z nim do spółki. Ma upatrzone nawet miejsce — w Sanquhar, gdzie nasza Brygada stała jeszcze w 40 roku. Znałem właściciela, który właśnie zmarł i obtańcowywałem kiedyś jego jedynaczkę, rudowłosą piękność hrabstwa — Kay. Obiecałem Andrzejowi, że pojadę z nim oglądnąć ten sklep i ewentualnie porozmawiać z Kay o cenie kupna.

16 czerwca

Wróciłem właśnie z Sanquhar. Kay przyjęła nas z radosnym piskiem i niezłymi ciastkami z autentycznym kremem. Nie, jest jeszcze panną, choć sama nie wie, jak to się stało. Może, że zbyt wybiera. Wypiękniała bestia. Sklep sprzedaje, gdyż ma zamiar wyjechać do ciotki w Południowej Afryce. Przeglądaliśmy książki kasowe; w największym porządku i wcale ładny obrót. Kay zgadza się na wpłacenie połowy należności gotówką, a pozostałość rozłoży nam na pięcioletnie spłaty. Mamy dać jej odpowiedź w przeciągu dwóch tygodni. Na *„goodbye”* urżnęliśmy się z nią pod „Koroną”.

1 lipca

A więc jestem współwłaścicielem sklepu, który widnieje jeszcze pod szyldem *„ROBERT FERGUSSON — GROCERY & DAIRY”*. Sklep jest przy ulicy *Hope*. *Hope* — to po angielsku — Nadzieja. Brakowało nam niecałe £ 100; uzyskaliśmy obaj pożyczki z różnych źródeł. Kilka koleżeńskich dziesięciofuntowych, oddziałowe Koło Koleżeńskie coś tam dodało, a Fundusz Społeczny pomógł nam pięćdziesięciofuntową, bezzwrotną pożyczką. Sklep jest więc nasz i mieszkanie, w którym mieszka jeszcze Kay. Za towar mamy zapłacić później. Kay osobiście zawiadomiła dostawców, głównie Spółdzielnię, oraz klientów o zmianie właściciela. Zapewniła nas, że nie natrafimy na żadne trudności. Zobaczymy.

22 sierpnia

Ten Andrzej ma jednak głowę na karku. Przydaje mu się przedwojenne, pięcioletnie doświadczenie ze spółdzielni „Społem”, w której pracował w jednym ze sklepów spożywczych w Łomży. Zrobił pomysłowe okno wystawowe, dawny magazyn - rupieciarnia u nieboszczyka Fergussona, zmienił wadliwe oświetlenie lokalu, a przede wszystkim — obsługa klientów. Papa Kay nie przyjmował telefonicznych zleceń, kierując się utartymi, konserwatywnymi zasadami. Telefon u niego służył, a raczej miał służyć, chyba na wypadek pożaru czy rabunku. Andrzej uprzejmie zaproponował przyjmowanie zamówień telefonicznie. Nasze paniusie podejrzliwie spojrzały na niego, ale kiedy istotnie leciwa aptekarzowa, której, wydaje mi się, Andrzejek przypadł do smaku, zastała wytelefonowany towar, pomysł udał się i, co ważne, spodobał się.

8 września

Wczoraj mieliśmy pierwszy zatarg z Kooperatywą. W czasie przeglądania starych ksiąg Fergussona zauważyłem, że otrzymywał on nabiał o 2½% taniej od nas. Zwróciłem na to uwagę Andrzejowi, w rezultacie czego zażądaliśmy obniżenia dostarczanego nam masła, sera i jaj. Stanowczo nam odmówili, motywując to naszym niedotrzymywaniem umowy zmarłego właściciela. Chodzi im widocznie o mleko, które otrzymujemy teraz wprost z farmy i butelkujemy. Kiedyś Fergusson brał ze Spółdzielni. Ale my mamy 6½% więcej zarobku, czego przedtem nie mógł ojciec Kay uzyskać. A propos Kay: wyjeżdża dopiero w marcu; prędzej nie otrzyma kabiny na statku. Narazie mieszka z nami, gotując i bezinteresownie (słowo honoru!) zajmując się już naszym mieszkaniem. Żałuje, że brak czasu nie pozwala mi na kontynuowanie starej tradycji sprzed 6 lat i że mogę tańczyć z nią tylko w soboty. Tańczy jak młoda bogini. (Czy boginie tańczyły?...)

2 października

Spółdzielnia bierze się do nas na dobre. A raczej — na złe, dla nas. Formalnie zażądała całkowitego zakupu towaru u niej lub przestanie nam dostarczać produktów i uniemożliwi przywóz skądinąd. Oni faktycznie mają tu transport w ręku i wielkie wpływy w ogóle wszędzie. Buntuję się przeciwko takiemu postawieniu sprawy, radzę wszcząć pertraktacje bezpośrednio z wytwórniami; Andrzej nie chce. Zamierza pójść na ugodę — *„fifty-fifty”*. Proponuje zakup w Spółdzielni całego nabiału, który od trzech tygodni sprowadzamy z farmy kuzyna Kay, w zamian za zrównanie cen zakupu. Nie zgadzam się na to. Jedynym wyjściem byłoby posiadanie własnej ciężarówki, choćby małej. A na to wciąż jesteśmy za biedni. Płacimy za przywóz Spółdzielni; może ona w każdej chwili wstrzymać transport i co wtedy? Radziłem się Kay. Ona także uważa, że powinniśmy żyć w zgodzie z wszechpotężną Spółdzielnią. Nie!

15 listopada

Ubyło nam 10 klientów. Wszystko przez tę przeklętą Spółdzielnię. Gonimy ostatkami zapasów, za wyjątkiem nabiału. Wszystkie firmy odmówiły dostawy towaru! Wszystkie przedsiębiorstwa transportowe wozów! Andrzej zaproponował współpracę naszej konkurencji w mieście — Mc Lean'owi i Whitby'emu. Na razie nie dali odpowiedzi. Obawiają się widocznie Spółdzielni. Jak długo ta wojna będzie trwała? Nasza gotówka, bardzo skromna, nie pozwoli nam przetrzymać zimy w podobnej sytuacji. Pożyczki nie możemy się znikąd spodziewać. Staramy się ukryć nasze kłopoty przed Kay, ale ona, zdaje mi się, wszystkiego się domyśla. Kiedy wczoraj odmówiłem na jej zwykłą propozycję udania się na *„dance”* — spojrzała na mnie przeciągle i powiedziała: *„Don't worry Stan, everything will be O.K.”*...

26 grudnia

Christmas w Sanquhar w n a s z y m sklepie przy Hope Street, był najmilszym z moich Świąt na tej Wyspie. To nie namiot czy beczka w campie. To w ł a s n y business, własny kąt. Kay zrobiła piękną choinkę, ma się rozumieć pudding i indyka też. Według naszych przepisów ta nasza rudowłosa bogini przyrządziła masę polskich smakołyków. Jak zwykle — udały się jej. Tak, jak dzięki jej, doszliśmy do korzystnego układu ze Spółdzielnią. Fergussonowskie ceny za nabiał i na mleku 3% więcej, niż poprzednio. Zmuszeni zostaliśmy do przyjęcia innych, trochę niewygodnych, warunków: zobowiązaliśmy się do posługiwania wyłącznie transportem Spółdzielni i niezawierania transakcji niekorzystnych dla Spółdzielni i bez porozumienia się z nią. Po dłuższym targu zgodzili się na naszą klauzulę: w razie nabycia przez nas samochodu, wewnętrzny transport towaru będzie zorganizowany przez nas we własnym zakresie. Na razie zresztą są to zamki na lodzie; na ciężarówkę wciąż nas nie stać. W każdym bądź razie *„agreement”* nienajgorszy.

7 stycznia 1947

Przyjęliśmy chłopca na posyłki. Kupiliśmy dla niego trójkołową „rikszę” i będzie on rozwoził zamówiony towar po mieście, a przede wszystkim po okolicznych farmach. Chłopiec, piętnastoletni Walter, jest synem kuzyna Kay; udobruchaliśmy w ten sposób jego ojca, który w czasie „wojny ze Spółdzielnią” dostarczał nam nabiał. Aptekarzowa, jak zwykle, pierwsza pochwaliła naszą inowację. Powiedziała to Andrzejowi, wytelefonowując zamówienie i — co notorycznie praktykuje — flirtując z mym wspólnikiem.

18 lutego

Przybyło nam raptownie z górą 20 świeżych klientów. Wszystko dzięki tegorocznej zimie. Mc Lean i Whitby nie są w stanie dostarczać towarów do zasypanych farm — my możemy. Sanki i konia pożyczyliśmy od kuzyna Kay, posadziliśmy Watlera i — szafa gra! Przyznać należy, że był to pomysł niezrównanego Andrzejka, zręcznie zrealizowany przez Kay. Ani dnia przerwy w dostawie mleka i artykułów spożywczych! Tym naszym osiągnięciem zainteresowała się nawet sama dyrekcja Spółdzielni. Zaproponowano nam współpracę w organizacji transportu żywności w czasie zimy. Oczywiście — ładna prowizja za to.

20 marca

Śnieg tak nas zasypał, że nie mogliśmy dziś rano otworzyć sklepu od wewnątrz. Andrzej chciał właśnie telefonować po pomoc, gdy w zasypane okno ktoś zastukał. Odkopali nas klienci, którzy zamiast stać w kolejce — chwycili się za łopaty. Dziś Kay ma *birthday*, wyjazd jej został przełożony na kwiecień. Szkoda jej będzie.

13 kwietnia

Dziś, to chyba najszczęśliwszy dzień w mym życiu. Zamówiliśmy ciężarówkę dla sklepu. Setny klient zarejestrował się u nas. Zaręczyłem się z Kay; nie jedzie już do Afryki. I wywiesiliśmy z Andrzejem n a s z szyld: KOWALEWSKI & SPIECHOWICZ — GROCERY & DAIRY. Nie darmo ulica nasza nazywa się *Hope*. Bo *„hope”* — to po angielsku — nadzieja.

TADEUSZ KERNBERG

Stary Sobuś opowiada

Tę gadkę góralską poświęcam przyjacielowi J. H., który pozostał w Kraju.

Historia w rzeczywistości może nieprawdziwa, ale w legendach górali podhalańskich często kryje się coś z prawdy.

Schroniliśmy się do szałasu na Polanie pod Wysoką w Tatrach. Deszcz mżył monotonnie i pluskał po dranicach (deski pokrywające dach). Była to typowa górska dwutygodniówka. Leżeliśmy wygodnie przy watrze na cetynie (gałęzie świerku) zawaterniak (kłoda przy ognisku) parskał snopami iskier żywicowych, dym leniwie snuł się po szopie i pomału przeciekał przez osmolone płazy na zewnątrz.

Baca Sobuś był z Jurgowa, rodzina bacowska z dziada-pradziada. Całe prawie życie spędził „przi owcach w holach". Był bardzo stary i sam nie wiedział, ile ma lat. Suchą, starczą twarz oświetlał chochlik swawolnego płomienia, — wyblakłe, siwe oczy patrzyły gdzieś w dal, zda się przypominały sobie, jako to bywało drzewiej. Juhasi milczeli i my też wpadaliśmy mimo woli w nastrój.

Siklawa spadająca z progu Czeskiej Doliny szumiała niewyraźnie.

Ciszę przerwał baca słowem „haj" i splunął w watrę.

Nastawiliśmy ciekawie uszu.

— Dziśka nie najdzies tyk chłopów — zaczął baca — co ik widziały moje ocy. Choć ta dziś trefi się wseliniaki parobek, co je nie płony (słaby).

Byłem małym chłopce i dziś widze ojca przed musikom, jako se zaśpiwoł:

Ej, jano przisła na cię bida,
w cornym gaju, zabije cię otrębina...

Moiście piękni, krzesał przy drobnym, jaze dyle trzeszczały pod nim. Ej, beeł ś niego chłop! To com słyszał od niego, to wam opowiem. Jurgowianie paśli krowy z dawien dawna w Jaworowej, a na tej polanie stało pięć sto dojek — dziś gazdowie ześli na dziady... Cepry się nie szwendały po halach, góry były naprawdę dzikie. Statek nierzadko ginął od niedźwiedzi i wilków. Psy owczarskie nosiły obrożę nabijane żelaznymi kolami dla ochrony od ataku wilka. W Tatrach niepodzielnie panowali zbójnicy. Jedynie w pościgu za zbójnikami zapuszczały się śmiało w góry potężne oddziały pandurów węgierskich lub jegrów austryjackich. Chłopcy weseli (zbójnicy) w czasie lata żyli pełnią łupieskiego życia. Ich kochankami były najpiękniejsze dziwki po halach. Oni rzucali złotem i śrybłem naokoło. Według staroświeckiego podhalańskiego powiedzenia zbójnik „równał świat". Surowa i ciężka zima tatrzańska była zmorą dla niejednego z nich. Trzeba było zejść dołu i dusić się przez parę miesięcy w kurnej chacie. Wtedy w tym dólskim życiu wpadało się często w ręce sprawiedliwości.

Nasza polana była nieraz odwiedzana przez zbójników. Mój ojciec rod ich widział. Ta nie załował poniektórego barana. Za to nanieśli dosyć dobra. Niek ta sie uciesą z dziwkami — i tak się minom po malućkiej kwili. Niejeden z nik patrzył ku siubienicom i ginął honorną zbójecką śmiercią na Orawskich Zamkach lub w Mikulaszu.

Najgorzej mojemu ojcu i juhasom zaśli za skórę trzej zbójnicy. Brali sera, oszczypków telo, ile popadło, i niejednego bycka zabili. Tak to trwało przez parę lat. Pilnowali się i zbrój mieli niezgorszy. Ojciec i juhasi czekali cierpliwie na okazję, aby im zapłacić za swoje krzywdy.

Zbójników było trzech: ojciec Józicek i syn zwany Juro Siumny — ci byli ze Zębu. Towarzysił się z nimi Jano ze Starej Polany — ten był Zakopian. Ojciec zjadł zęby na zabijaniu, był za młodych lat w bandzie Matei z Polan. Niezgorsze było ś niego chłopisko, choć ta nie jednom krew ludzką miał na swoim sumieniu.

Juro Siumny miał dwaścia pięć roków. Spalony od wiatru, żylasty, uwarty w sobie jak buk w reglu. Chłopik był to nieduży, a niej daj Bóg kiedyś mu wpadł w pazury. Był to polowac nad polowace, w dziedzinie trudno mu było usiedzieć. Nie oparła mu się żadna dziwka, kiej jej sie przypatrzył, kiej jom chwycił za renke, była jego. Jano — ich towarzysz był to rosły chłop o szerokich barach, tak silny, że mógłby się brać w zapasy z niedźwiedziem. Ciesyły go ino turnie (ludzie zwali go Turniowiec), bijatyki po karcmach i szerokie zbójeckie życie. Żarłok beeł teki, co jeden baran był dla niego na roz.

Tak wej ci trzej stanowili towarzystwo.

Jedna wyprawa im się znakomicie udała. Na drodze między Sławkowem a Popradem napadli na kupca z Lewoczy. Kupiec, zacięty obuchem ciupagi w łeb, spadł z wozu, Jano i Juro długo się nie babrali z trzema pachołkami. Nabrali dobra: sakwy były pełne tokaju i madziarskiej palenki (wódki). Zaszyli się z miejsca w lasy i szybko przedzierali się do Doliny Wielickiej. Z Polskiego Grzebienia nie było daleko do znajomej polany. Takich by nawet diabeł nie zgonił. Juro cyfrował (podtańcowywał) cały czas idąc perciom, choć mu ta sie godnie krew z rozbitej głowy lała. Od Zmarzłego Stawu skręcili w lewo i śli Litworowom Dolinom. Śli grajęcy. Józicek grał na gęślach ozwodną (powolną) orawską nute. Wiatr rozwiewał jego siwe włosy, a on drapieżnym spojrzeniem omiatał okoliczne turnie. Doszli do Zielonego Stawku w Kaczej Dolinie i tu zaczęli gospodarować na wiadomej im zielonej równi, otoczonej łanem kosówki. Byk na ucztę padł pod nożem. Pili złote uherskie (węgierskie) wino. Na środku polanki był wbity w ziemię bunkoś, (ozdobna ciupaga), na nim wisiał kłabuk (kapelusz). Józicek grał drobnom nute, cupkał kurpcem do taktu aż piarg kurczał. Jano i Juro krzesząc nosili się z pasją w tańcu, ich dzikie okrzyki oddawały ściany skalne dalszym pobratymcom. Zbójnicy byli dufni w swoje siły i to ich zgubiło.

Pod wieczór przyszedł smętny baca zobaczyć, co zostało z byka. Pozdrówkał ich grzecznie, bo musiał. Na zemstę czekał długie lata. Ciepła, letnia noc górska uśpiła zbójników. Czuli się bezpieczni. W nocy przysiedli ich juhasi wraz z bacą. Jano zginął odrazu od ciosu rąbanicy. Juro Siumny konał powoli szepcząc cicho: „Ojciec pomścij..." Jego źdźiwione oczy żegnały z żalem świat... Ino Józicek wyprosił se zycie.

Za zbójeckie pieniądze — kończył Sobuś swoją opowieść — mój ojciec pobudował dom, co stoi do dziś dnia przy kościele. Ej, kupił za te dutki tyż pola i owiec!...

Do szałasu wtargnęła czereda gości pytając o kwaśne mleko. Czar opowieści starego bacy prysnął, tylko deszcz wciąż szumiał na dranicach szałasu.

Kensington, w czerwcu

JAN SAWICKI

Emigracja Polaków z Niemiec

Otrzymaliśmy szereg informacji z zakresu dążeń do rozładowania zagadnienia DP's na terenie Niemiec. Są tam wiadomości pozytywne, wiele jednak jednocześnie punktów, które muszą być ocenione krytycznie. Przede wszystkim jest rzeczą przykrą, że Polacy w Niemczech są traktowani, jako przedmiot, którym się dysponuje, rozmieszcza, wysyła w różne strony świata przy minimalnym udziale samych zainteresowanych. Organizacje polskie są z rzadka, nieregularnie pytane o zdanie. Niektóre rodzaje werbunku bardzo są zbliżone do handlu niewolnikami.

Zaliczyć tu musimy rekrutację do Venezueli i Brazylii do pracy na roli. Ze strony polskiej ostrzegano już niejednokrotnie zainteresowanych, że praca fizyczna, ciężka w strefach tropikalnych jest dla Europejczyków, zwłaszcza z północnej i wschodniej części Europy jak najbardziej nieodpowiednia. Dokładnych wiadomości ilościowych nie posiadamy, podobno odeszło już przeszło 10 statków z emigrantami do obydwu wymienionych krajów.

Z innych krajów zamorskich praktycznie interesuje się imigracją DP'sów Kanada, która werbuje samotnych robotników do przemysłu drzewnego i niewielką ilość kobiet do pracy domowej. Australia zainteresowana jest robotnikami rolnymi i robotnikami do wielkich prac inwestycyjnych hydro-elektrycznych.

Jeżeli chodzi o kraje zachodniej Europy, to istnieje werbunek do Belgii, przede wszystkim do kopalń. Werbunek ten był przeprowadzany technicznie w sposób niewłaściwy, niektóre obozy miały tylko jeden wieczór do namysłu i do zdecydowania się na podpisanie kontraktu. Francja zamierza sprowadzić robotników do górnictwa.

Podając powyższe wiadomości wyrażamy niepokój, że jeżeli załatwianie spraw polskich będzie odbywać się nadal bez stałego współudziału polskich organizacji społecznych, to emigranci polscy mogą być rozmieszczeni na niewłaściwych terenach i bez należytego zabezpieczenia ich interesów. Spodziewamy się, że Rada do Spraw Osiedlenia zajmie się energicznie tą sprawą.

Bolączki Polaków w Niemczech

Na terenie zony brytyjskiej liczne grupy polskie pracują już na rzecz brytyjskiego zarządu wojskowego w ramach CMLO. Zatrudnieni w ten sposób mają wyżywienie zbliżone do żołnierzy brytyjskich, a więc znacznie lepsze, niż poprzednio w obozach. Otrzymują płacę częściowo w markach niemieckich, w małej części w walucie okupacyjnej, co umożliwia im wykupywanie racji w NAAFI. Pierwsze wiadomości świadczą o tym, że rodacy nasi czują się psychicznie lepiej w tych nowych warunkach aniżeli podczas bezczynności obozowej. Tym niemniej występują rozmaite usterki, o których zostaliśmy niedawno poinformowani.

Niedomaga opieka lekarska. W razie choroby lub wypadku pracownicy CMLO korzystać mogą jedynie z opieki lekarskiej niemieckiej względnie przebywać w niemieckim szpitalu. Byłoby wskazane zorganizowanie opieki lekarskiej polskiej względnie przekazywanie chorych do szpitali brytyjskich.

Dalszym kłopotem jest sprawa mieszkań dla żonatych. Nie zostało to dotychczas rozwiązane przez władze brytyjskie, znalezienie mieszkania z wolnej ręki jest niewykonalne. Rodziny przebywają więc w obozach, nieraz oddalonych, a pracownicy mogą korzystać tylko z dwunastu dni urlopu rocznie.

Zupełnie nowy problemat stanowi sprawa przejazdu kolejami i podmiejskimi środkami transportowymi. Pracownicy polscy CMLO zobowiązani są do noszenia mundurów specjalnych, nie mając jednocześnie od niedawna prawa podróżowania przedziałami zarezerwowanymi dla personelu alianckiego. Niemcy nie chcą ze swej strony wpuszczać umundurowanych Polaków do przedziałów ogólnych i powstają na tym tle przykre i gorszące zajścia. Korespondent nasz zapytuje, czy istnieje jakiś sposób przypomnienia władzom brytyjskim, że Polacy ci są mimo wszystko byłymi aliantami, których nie wolno traktować w sposób poniżający, odnosić się do nich gorzej niż do Niemców.

Mamy nadzieję, że polskie organizacje społeczne zajmą się tymi sprawami i uzyskają poprawę bytu naszych kolegów w wymienionych powyżej punktach.

Listy do Redakcji

WĄTPLIWA KORZYŚĆ — OLBRZYMIE STRATY

W „Naszym Znaku" (Nr. 16) ukazał się list p. J. Powerskiego, wzywający do bezstronnego rozważenia sprawy ustosunkowania się Polaków w W. Brytanii do niemieckich jeńców wojennych. List wydaje się na czasie. Jak jednak się zdaje, mimo wezwania do bezstronności zawiera on szereg akcentów podpowiadających potrzebę zmiany stosunku — i potrzebę zgrania naszego stanowiska ze stanowiskiem przyjętym obecnie przez Brytyjczyków.

Będąc daleki od ślepej nienawiści w stosunku do chwilowo złamanego wroga, dla zapewnienia trzeźwości i rozwagi w tej sprawie, odsuwam z góry elementy mogące wpłynąć uczuciowo na jej rozpatrzenie, a więc Warszawę, Oświęcim, SS, Luftwaffe, całą filozofię „narodu panów" zaszczepioną na podatny grunt niemiecki od kilkunastu lat, i stosowaną w praktyce przez wszystkich przedstawicieli tego narodu.

Wydaje się jednak, że „trzeźwość i rozwaga" nakazuje nam zachowanie całkowicie odmienne od zachowania naszych gospodarzy; z chwilą zakończenia działań wojennych sprawa Niemców wcale nie przestała dla nas istnieć. Istnieje od lat przeszło tysiąca, nie uległa zmianie na skutek chwilowej porażki Niemiec. Zagraża w tej chwili ziemiom włączonym do Polski, na których osiadły miliony Polaków, zagraża niesłychanie ważnym terytoriom pruskiego lenna, godzącym swym położeniem strategicznym w serce Polski, zagraża całą siłą umysłowości niemieckiej skierowanej na wschód. Na przyszłość zaś, przy poparciu coraz to liczniejszych i możniejszych przyjaciół — grozi od nowa całej Polsce, jej istnieniu.

Nie można przeto się dziwić, że „ilekroć występuje sprawa Niemców — nastawianie do nich jest takie, jak sprzed dwóch lat". Nie jest to bowiem nastawienie „sprzed dwóch lat" — ale po prostu nastawienie wykute tysiącletnim doświadczeniem. Dlatego właśnie nastawienie nazwane przez autora listu „hurra — patriotycznym", odrzucające porozumienie się z Niemcami, wydaje się być dyktowane trzeźwą oceną i znajomością naszych sąsiadów.

„Tymczasem — pisze Autor — prądy i kierunki się zmieniają". Zdanie to w zestawieniu z poprzednim (napewno wbrew woli Autora) — zalatuje nie tyle trzeźwością, ile utylitaryzmem. Oto Brytyjczycy zrewidowali swoje ustosunkowanie do Niemców, to i my musimy. Prowadzi to do pogłębiania już i tak rozpowszechnionego ugrzecznienia w stosunku do Brytyjczyków — przez wyrzekanie się wszelkiego stanowiska istotnego dla interesów polskich celem uzyskania chwilowych faworów gospodarzy.

Co więcej — zmiana naszego stosunku do Niemców nie przyniosłaby spodziewanych skutków w postaci zbliżenia brytyjsko-polskiego. Z jednej strony przekreśliłoby to jednomyślne nastawienie Polaków pod względem politycznym i byłoby polskim żyrem dla niemieckich dążeń rewizjonistycznych. Z drugiej zaś strony — uleganie brytyjskim nastrojom w tym kierunku wywołałoby skłonność do ulegania zmiennym prądom w każdym kierunku. Jutro będzie nowy faworyt — wobec tego i my też! Gdyby ciągły bieg za zmianami faworytów gospodarskich dawał się nawet pogodzić z sumieniem i z sercem — utylitaryzm taki byłby bardzo niebezpieczny i krótkowzroczny: Polacy są w trudniejszej sytuacji, niż ktokolwiek inny. Przyjaźniejsze ustosunkowanie się Polaków do Niemców na tutejszym terenie dawałoby w ręce wrogich elementów (przede wszystkim w niektórych *Trade Unionach*) kapitalny atut — przeciw Polakom. Fala napaści jako na rzekomych „faszystów" i „nazistów" — nie kazałaby na siebie długo czekać. Posiadacz belki w oku ma przecież głos i to potężny. Polak ze słomką — jest niemową. Motyw utylitarystyczny — nie wytrzymuje więc krytyki — wobec szkód, na które narazi się natychmiast i tutejszą grupę Polaków nie mówiąc już o interesach Polski.

Ale to nie wszystko. W pojęciu Brytyjczyka — obserwatora nie tylko zostaną przekreślone wszelkie nasze pretensje i żądania w stosunku do Niemiec — cały wkład włożony w urobienie opinii brytyjskiej w tym kierunku, ale nastąpiłaby również utrata poważnej części szacunku do samych Polaków — właśnie wobec zmienności ich przekonań. Wysługiwanie się — choćby w tak zawiłej drodze, jak poprzez przyjaźń do Niemców — przyniosłoby tylko na przyszłość pogardę i nieufność gospodarzy, których chciano skokietować. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę co jest powodem obecnej przyjaźni brytyjskiej w stosunku do jeńców niemieckich. Jak w większości motywów anglosaskich — są one właśnie utylitarne. Jeńcy niemieccy są niezbędnym a tanim robotnikiem, szczególnie na roli. W kryzysie brytyjskim — na nim opierają się nadzieje najpoważniejsze. Brytyjczyk zawsze przymyka oczy na to, co mu chwilowo dogadza, ale widzi rzecz właściwie i — pamięta. Zapamiętałby więc dobrze nasze zachowanie się w stosunku do Niemców w chwili jego praktycznego podejścia do niemieckiej siły roboczej w okresie kryzysu. I oceniłby nas nie w sposób spodziewany, a właściwy dla takiego postępowania.

Reasumując — zmiana ustosunkowania się do niemieckich jeńców nie przyniosłaby żadnych pozytywnych wyników dla Polaków, ale same straty: moralne, polityczne, materialne.

WŁADYSŁAW LIS

„OPORNY" — Plaster Down. — List Pański ogłosimy po uzyskaniu z właściwego źródła chociażby części wyjaśnień na 21 pytań zawartych w liście.

„ŻOŁNIERZE W OBOZIE" — Redakcja „Polski Walczącej" przekazała nam list Kolegów w sprawie przestrzegania przed emigracją do Argentyny. Nie możemy zorientować się, który artykuł Koledzy mieli na myśli. W Nr. 16 „Naszego Znaku", w artykule „Lekkomyślne decyzje" przestrzegaliśmy przed podejmowaniem się ciężkiej pracy fizycznej w tropikalnych krajach Płd. Ameryki nie wymieniając nazw poszczególnych państw. Artykuł „Uwagi o Argentynie" w tymże numerze „N. Z." był przedrukiem z dobrze poinformowanego komunikatu i konkretnie informował o trudnościach, z którymi emigrant musi porać się w tym kraju. Nie przesądzaliśmy jednak sprawy, czy warto zamieniać W. Brytanię na Argentynę — czy nie. Argentyna jest bodajże najlepszym krajem imigracyjnym w Płd. Ameryce, ale do niej trzeba podchodzić z wielką ostrożnością i krytycyzmem.

Co do Brazylii to postaramy się spełnić życzenie Kolegów.

Jeżeli Koledzy dotychczas tego nie uczynili, radzimy zapoznać się z broszurami: 1) „Argentyna" — nakładem Samopomocy Lotn., 2) „Brazylia" — nakł. Sam. Lotn., 3) „Ameryka Południowa" (bez Brazylii) — nakł. Sztabu Gł., 4) „Brazylia i Argentyna" — nakł. Światpolu — wszystkie wydane w Londynie.

KOMUNIKATY

BIURA INFORMACJI I PORAD SPK
20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.
Oddział w Edynburgu:
13, Glencairn Crescent, Edinburgh.

GALANTERIA SKÓRZANA

Przedsiębiorstwo wyrobów galanterii skórzanej poszukuje pracowników na wyjazd do Irlandii (Dublin, Eire). Możliwość zatrudnienia dla około 10 fachowców z branży galanterii skórzanej. Stawki i warunki według umowy zgodnie z obowiązującymi w tej branży. Zgłoszenia pilne kierować na adres: Mr. K. Kar, 26, Danvers St., London S.W.3".

POSZUKIWANY WSPÓLNIK

Przedsiębiorca angielski pragnie założyć warsztat przedmiotów artystycznych (dekoracje, szkło, ceramika). Gotów zaangażować do przedsiębiorstwa kapitał nawet do £ 10.000.

Poszukuje współpracownika, czy wspólnika, któremu stawia następujące warunki: poza umiejętnością i kwalifikacjami artystyczno-fachowymi kandydat musi nie przekraczać wieku 32 lat, musi być kulturalny, samotny, pragnący osiedlić się w Anglii zamieszkać z pracodawcą i zaprzyjaźnić się z jego 24-letnim synem.

Przedsiębiorstwo byłoby pomyślane w przyszłości, jako spółka między kandydatem a synem przedsiębiorcy w 50% dla każdego. Obecnie przedsiębiorca ofiarowuje mieszkanie, utrzymanie i pewne wynagrodzenie.

Zgłoszenia z życiorysem przesłać na adres Anglo-Polish Society, 24, Regent Street, Clifton, Bristol 8.

WARUNKI PRACY W RESTAURACJACH

Sezon letni zwiększa podaż pracy w hotelach, restauracjach, kawiarniach itp. — oraz możliwości zatrudnienia tam Polaków. Skłania to nas do zainteresowania się obowiązującymi stawkami płacy, świadczeniami, godzinami pracy.

Źródłem informacji w tym wypadku będzie ogłoszenie **Ministry of Labour and National Service**, ustalające podstawowe stawki płacy i regulujące inne warunki pracy w dziale przemysłu hotelarskiego i restauracyjnego. Dane, które przytaczamy obowiązują od dn. 11 sierpnia 1947 r.

Podstawowy, obowiązujący czas pracy jest 47 godzin tygodniowo. Czas przepracowany ponad to liczy się jako — nadgodziny.

Tygodniowe stawki płacy dla pracowników — mężczyzn i kobiet — w wieku ponad 21 lat na terenie Wielkiego Londynu przedstawiają się następująco:

Funkcja	Mężczyzna	Kobieta
Zastępca kierownika zakładu:	100/	80/-
Inspektor piętra (jeśli zakład posiada kilka pięter):	87/-	67/-
Kasjer:	82/6	62/6
Kelner:	82/6	62/6
Prowadzący bufet:	82/6	62/6
Naczelny kucharz (Chef):	125/0	105/0
Pierwszy kucharz:	115/0	95/0
Kucharz:	100/0	80/0
Pomocnik kucharza:	90/0	70/0
Inni pracownicy (poza pracownikami biura zarządu):	80/0	60/0

W innych miejscowościach, poza Londynem, mających ponad 10 tysięcy mieszkańców stawka obowiązująca jest niższa o 3/- na tygodniówce. W pozostałych miejscowościach W. Brytanii — niższa o 5/- od tygodniówki londyńskiej.

Pracownicy, których praktyka w danej specjalności jest krótsza niż 3 miesiące — mogą otrzymywać stawki zmniejszone o 10%.

Jeśli pracodawca nie daje posiłków pracownikom, stawki muszą być zwiększone o 8/- tygodniowo.

Jeżeli pracodawca nie daje do prania fartuchów czy uniformów noszonych przez pracowników na służbie — winien dopłacać pracownikowi 1/- tygodniowo extra. Jeżeli daje pracownikowi uniform, ma prawo potrącać 1/- tygodniowo, a za fartuch 6 pensów, aż dopóki nie pokryje w ten sposób swego wydatku.

Poza normalnym obowiązkiem płacenia nadgodzin (czas przepracowany ponad 47 godzin tygodniowo) — przewidziano specjalne wyrównanie za godziny przepracowane przed 7 z rana lub po 7 wieczorem, oraz za zapłatę w niedziele i święta.

Napiwki nie są brane pod uwagę.

Rocznie należy się pracownikowi 6 dni płatnego urlopu.

ROL

POSZUKIWANIA

Zarządy Kół na terenie których znajdują się PP. Wachm. Żand. Otto Stanisław, kpr. żand Patyński Henryk, sier. sap. kol Sołtysiak Leon, plut. sap. kol. Piątek Adam, kpr. sap. kol. Małachowski Wacław, proszone są o podanie dokładnych adresów w/w podoficerów Zarządowi Koła SPK No. 236 „Kolejarz" Shobdon Camp n/Kingsland, Herefordshire.

TYLKO UCZCIWĄ WYTRWAŁĄ PRACĄ ZDOBĘDZIESZ PEŁNE PRAWA DO ŻYCIA

Redaguje Wydział Prasowy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — 20. Queen's Gate Terrace, London, S.W.7 — tel. WEStern 0747.

Trzecia rocznica bitwy pod Chambois

Generał Guy Simonds, dowódca 2 Korpusu Kanadyjskiego, rozporządzał w Normandii, w upalne sierpniowe dni 1944 roku, dwiema dywizjami pancernymi: 1-szą — polską i 4-tą — kanadyjską.

Gdy na skutek ruchu armii Pattona zaczął się coraz wyraźniej zarysowywać kocioł zamykający w swym wnętrzu wyborowe oddziały niemieckie — wytknięty przed kilkanastu dniami kierunek na Falaise stał się mniej interesujący.

Chodziło o łapanie powodzenia pełnymi garściami. Chodziło o powiększenie rozmiarów kotła i hermetyczne jego zamknięcie.

Obie dywizje pancerne przerzucone zostały na wschodnie skrzydło korpusu. Polacy przeszli szybko i sprawnie w ciągu kilku godzin w poprzek ugrupowania kanadyjskiej piechoty.

1-sza Dywizja Pancerna.

Na czole 10 Pułk Strzelców Konnych i 1 Pułk Pancerny.

Dzień 15 sierpnia. Trzy lata temu.

Wypadki potoczyły się niezwykle szybko. W kalendarzu działań Dywizji roi się od coraz to nowszych nazw miejscowości: 15-go — wieczorem — sforsowanie rzeki Dives, zajęcie Jort i Vendeuvre. 16-go — Louvagny, l'Homme Coutiboeuf, Barou, Courcy, Morieres. 17-go — Norey-en-Auge, les Montieres-en-Auge i wzgórze otwierające drogę na Chambois.

W tej sytuacji generał Montgomery miał już całkiem jasny obraz możliwości, jakie mu stworzyli Polacy.

Jedyna droga odwrotu, jaka jeszcze Niemcom pozostała, prowadzi przez Chambois na Vimoutiers. Usadowienie się na wzgórzach leżących na wschód i południe od Chambois zamknie tę drogę i zadecyduje ostatecznie o losie usiłujących się wymknąć Niemców.

Na mapach wzgórza te znaczone są cyframi 262, a linie warstwic, łączące je, rysunkiem swym przypominają kształt maczugi.

Maczugę uchwycą polskie ręce i stoczą o nią, jak również o leżące od niej o dwa kilometry Chambois, ciężką, krwawą, trzydniową bitwę.

Od 8 sierpnia Dywizja szła w nieustannych, uporczywych walkach, znacząc swą drogę licznymi, naprędce kleconymi krzyżykami na przydrożnych mogiłach oraz wypalonymi, postrzelanymi kadłubami Shermanów. Nie śpiąc, jedząc tylko w nocy, bez chwili odpoczynku, bez wody, w nieustannym huku silników i dział, w nieustannym, denerwującym, męczącym trzasku słuchawek radiowych dochodziła do momentu decydującego, w którym trzeba było zapomnieć o zmęczeniu, o śnie, który sam przychodził i odpędzić się nie dawał, o wszystkich stratach i wszystkich dotychczasowych wysiłkach.

— Dywizja musi zamknąć kocioł.. — od tych słów zaczynały się wszystkie odprawy pułkowe i batalionowe.

Dywizja ruszyła natychmiast, w nocy.

Teren wyjątkowo trudny. Zalesione wzgórza, wąwozy, krzaki i nieliczne, kręte, wąskie, polne drogi, które niewiadomo dokąd prowadzą, nie wiadomo gdzie się zaczynają i gdzie kończą.

Rozbijając drobne oddziałki niemieckie, szukające pod osłoną nocy wyjścia z opresji, posuwała się Dywizja w wyznaczonym kierunku.

19 sierpnia na ,,Maczugę'' wszedł 1 Pułk Pancerny.

,,Wjazd stromy, ryczą silniki mocą swych 400 koni. Przy drodze jakieś niemieckie, opuszczone rowy, przygotowane do obrony, lecz nieobsadzone. Widocznie nie przewidywano nadejścia polskich czołgów tak szybko. Może nie oczekiwano ich z tej strony.

Pierwszy szwadron pozostaje na północnej stronie wzgórza. Ubezpiecza kierunek, z którego pułk nadszedł.

Dowódca pułku nagli. Naprzód, do szosy prowadzącej z Chambois!

Szosa pnie się na przestrzeni paru kilometrów w górę, wzdłuż zachodniego stoku aż do linii grzbietu, którym — w niewielkim wykopie — wyprowadza aż na głowicę ,,Maczugi''.

Czołgi doszły na kilkadziesiąt metrów od wykopu. Szosą przed nimi płynął nieprzerwany strumień pojazdów niemieckich. Niekończąca się kolumna, przygodnie złożona z czołgów, dział, samochodów różnego typu, wozów o konnym zaprzęgu. Wszystko wyładowane po brzegi ludźmi i wszelkiego rodzaju rzeczami.

Za wypakowanym piętrzącym się tobołami małym wózkiem sunie Pantera. Za czołgiem konie, zmęczone pokonywaniem tak dużego wzniesienia, bite niemiłosiernie przez obsługę, ciągną działo. Za działem samochód sanitarny. Wąż pieszych po obu stronach drogi towarzyszy kolumnie.

Kolumna posuwa się z szybkością żółwia. Tempo marszu dyktuje wychudzony, zmęczony, okładany batami, wspinający się pod stromą górę koń.

Pomiędzy pojazdami nie istnieją odstępy. Nieustanne zatrzymywania.

— Dlaczego znowu stoimy? — krzyczą zniecierpliwieni.

Dyszel wozu stuka w pancerz czołga. Woźnica śpi, nie zauważył, że idący przed nim PzKW 4 stanął. Natomiast jadący przed czołgiem, na małym samochodzie, pilnie oglądają się za siebie. Co będzie jeżeli kierowca czołga się zdrzemie i nie zahamuje w porę?

Shermany rozwinęły się jak na ćwiczeniach, objęły jak najszerszy odcinek drogi, odezwały się jednocześnie ogniem dział i karabinów maszynowych, zamknęły ostatnią drogę odwrotu 7 Armii.

— Pod Falaise Niemcy byli zamknięci jak w butelce, a wy byliście korkiem tej butelki — powiedział w rok później marszałek Montgomery.

,,Wydaje mi się, że moment wbicia tego korka ogłosił 1 Pułk Pancerny swym ogniem na ,,Maczudze'' *).

Do zmroku cała dywizja znalazła się na wzgórzach lub w Chambois. Znalazła się tam w porę, bo już w nocy runął na nią cały impet usiłujących się wyrwać z sieci wyborowych oddziałów SS.

Natarcie po natarciu. Piechota z czołgami. Tygrysy i Pantery, lekkie czołgi i samochody pancerne wypadały ze wszystkich dróg i wszystkich kierunków trafiając na ogień dział polskich Shermanów i Cromwelli.

Jeńców przybywało coraz więcej. Ozdobą ich był general-leutnant Otto von Elfeldt wzięty przez 10 Pułk Strzelców Konnych.

Na ,,Maczudze'' bili się wszyscy. Dowódcy pułków i batalionów mieli nieprzyjaciela na kilka kroków przed sobą. Dowództwo 10 Brygady Kawalerii Pancernej zostało przejechane przez samochody pancerne, którym to na sucho nie uszło. Biły się plutony kompanii przewozowej zaopatrywania. Pantery wpadły na punkt opatrunkowy nie oszczędzając ani rannych, ani sanitariuszy. Działa pułku przeciwpancernego strzelały do czołgów niemieckich dosłownie na odległość paru metrów. Działa przeciwlotnicze musiały ogniem na wprost wystrzelać samochody pancerne, które wyjechały na ich stanowiska.

*) Wyjątek umieszczony w cudzysłowie pochodzi z książki Jamara ,,Śladami Gąsienic 1 Dywizji Pancernej'', Wyd. H.L. Smith, Hengelo, Nederland. Stron 344.

Natarcia niemieckie trwały bezustannie. Niemcy ginęli masami, idąc mimo to uparcie naprzód. Jeńcy prezentowali się doskonale. Brutalne typy o świetnej kondycji fizycznej. Żołnierze oddziałów SS z Leibstandarte Adolf Hitler, czy 9 Hohen staufen, hardo patrzący w oczy, jakby chcieli powiedzieć, że nie wiadomo jeszcze kto u kogo będzie w niewoli. Dopiero w tłumie jeńców, na polance, w bezruchu, pod ogniem własnej artylerii tracili pewność siebie, zaczynali się bać.

Pomimo braku dostatecznej pomocy sanitarnej Dywizja w trzydniowej bitwie pod Chambois wykonała zadanie chwalebnie.

Generał Simonds przekazywał rozkaz dowódcy Armii Kanadyjskiej: ,,*Restricted. From Simonds to general Maczek. General Crerar has asked me to transmit to you his congratulations concerning the important and gallant part all under your command have played in the recent fighting. The First Canadian Army is very proud to count the Polish Armoured Division amongst its formations*''.

Wszyscy żołnierze 1-szej Dywizji Pancernej są dumni ze swego udziału w kampanii na kontynencie Europy. Najbardziej są dumni z bitwy pod Chambois, w której byli czynnikiem decydującym o zwycięstwie.

Że mało na ogół się słyszy o tym wkładzie żołnierza 1-szej Dywizji w ogólny wysiłek dokonany w ostatniej wojnie, to dlatego, że żołnierza tego cechowała zawsze skromność i małomówność. Mało się o tym żołnierzu słyszy i teraz, kiedy zmienił swój zawód wojskowy na cywilny. I znowu dlatego, że skromnie i cicho wziął się do nowej dla siebie pracy.

Ale ten żołnierz jest wśród nas i o trzeciej rocznicy swego pięknego zwycięstwa pod Chambois pamięta.

Pamiętajmy o tym wszyscy, bo to jedna z najpiękniejszych kart triumfu polskiego oręża.

JAN MAROWSKI

Kiedy wlazłeś między wrony...

By the means of a rope...

Przeczytamy sobie krótką a żałosną historię, która wprowadzi nas w zaklęty świat przyimków: ,,*This unfortunate youth, whose name was Smith, and who was a shoemaker, was in love with a young woman, who, in spite of all his importunities and his proofs of ardent passion, refused to marry him, and even discovered her liking for another; and he, unable to support life, accompanied by the thought of her being in possession of anybody but himself, put end to his life by the means of a rope... his body was put into a hole by the wayside, with a stake driven down through it*''. (Ten nieszczęsny młodzieniec, którego nazwisko było Smith, i który był szewcem, kochał młodą kobietę, która na przekór wszystkim jego narzucaniom się i dowodom gorącej namiętności, odmówiła poślubienia go a nawet odkryła swą skłonność do innego; on zaś, nie będąc w stanie znieść życia, dręczony, że ona może należeć do kogokolwiek innego, tylko nie do niego, położył kres swemu życiu zapomocą powroza ... jego ciało zostało złożone przy drodze w dole, w który wetknięto żerdkę ...'' z książki ,,*Advice to a Lover*'' (,,Rady dla zakochanego'' przez W. Cobbett'a).

Rzecz może się zdarzyć każdemu i niekoniecznie trzeba być szewcem albo Anglikiem, by tak skończyć. Autor zapewnia, że ,,*here we seldom love or hate by halves*'' (tu rzadko kochany na pół albo nienawidzimy), ale cudzoziemiec, np. wspomniany Pikes ma sąd inny, który wyraził w zdaniu ,,*Continental people have sex life; the English have hot-water bottles*'' (ludzie na kontynencie mają życie płciowe; Anglicy mają flaszki z gorącą wodą), nie o to jednak idzie, bo jeszcze nikt nie nauczył się sztuki kochania z książki, jak nikt nie nauczył się z książki mówić obcym językiem.

Wyrazy zaznaczone w tekście angielskim o biednym szewcu, Smith'ie, drukiem tak rozstrzelonym — są to przyimki. W połączeniu, w uścisku z rzeczownikiem, mianowicie z przypadkiem zasadniczym rzeczownika, przyimki tworzą wszelakie przypadki. Właściwie przypadek zasadniczy ma tyle rozmaitych funkcyj, że na dobrą sprawę powinien dostawać jakiś dodatek funkcyjny. Występuje on w zdaniu jako: podmiot, przedmiot dalszy, niekiedy jako przedmiot bliższy, i w tych okazjach życiowych, gdy po polsku stosujemy tzw. ,,wołacz'', gdy więc lekarz mówi do ciebie: ,,*Adam! Put out your tongue please*'' (Adamie! Niech pan swój język wystawi). Co za zachłanność w tej mowie angielskiej w tym podkreślaniu własności. Pokazujesz ,,*your tongue*''. Stoisz ,,*on your last legs*'' (na swych ostatnich nogach''). Ktoś kręci *his head*'' (swoją głową) itd.

Najpierw, zatem w pierwszym miocie, zajmiemy się podmiotem.

W każdym zdaniu, nawet najgłupszym, nawet najbardziej niepotrzebnym, króluje podmiot, jest on czymś najważniejszym a za pomocnika ma orzeczenie, którego część zasadniczą stanowi czasownik. Ten czasownik, będący orzeczeniem albo częścią orzeczenia, jest podporządkowany podmiotowi w pozycji na baczność. Czy chce, czy nie chce, musi zgadzać się z podmiotem na temat liczby i w czasie teraźniejszym, przyszłym i trybie warunkowym osoby. Podmiot, przy ścisłej współpracy orzeczenia, wyraża stan jakiś lub jakieś działanie:

,,*I do love you*'', — *she said presently with her arms about him.* ,,*Oh! I do, do love you*''.

He drew her closer to him.

He kissed her neck. She pressed him to her.

Their lips met''.

(Kocham cię — rzekła zaraz, trzymając go w ramionach. — Oh, ja kocham, tak, kocham cię''. Przyciągnął ją bliżej do siebie. Pocałował ją w szyję. Przycisnęła się do niego. Ich wargi spotkały się (z książki ,,*Love and Mr. Lewisham*'' *H.G. Wells'a*).

Nie mamy najmniejszej wątpliwości, że podmiot, łącznie z orzeczeniem wyraża działanie, podczas gdy np. w zdaniu ,,*She is an expectant mother*'' (ona jest oczekującą matką, — poprawnie — przy nadziei), widzimy raczej stan, niż działanie.

Podmiot jest to osoba albo rzecz, o której coś twierdzimy albo zaprzeczamy. ,,*Allophen is one of the best laxatives*'' (allofen jest jednym z najlepszych środków przeczyszczających). W języku angielskim podmiot ma stałe m.p. na początku zdania, podczas gdy w języku polskim możemy przerzucać podmiot i miotać nim dowolnie, jakby to była jakaś ,,*displaced person*''. Niemniej i Anglicy używają czasami szyku takiego, że podmiot zmienia swe m.p. i ukazuje się na końcu zdania. Dzieje się to wtedy, gdy pragniemy uwydatnić pewną czynność. Po zdobyciu Monte Cassino przez Polaków czytaliśmy w gazetach ,,*Up goes the Polish flag*'' (W górę idzie polska chorągiew), normalnie jednak mówimy np. ,,*the fever goes up*'' (gorączka idzie do góry) Podobnie ,,*Down goes the flag*'' (chorągiew idzie w dół), ale windziarz pyta: ,,*going down, sir?*'' (Czy pan jedzie w dół?). W interesującym czasopiśmie ,,*Lilliput*'' znalazłem karykaturę, przedstawiającą trumnę z nieboszczykiem i orszak pogrzebowy, na widok którego chłopiec od windy zadaje pytanie ,,*Going down?*'' (Na dół?).

Również w zdaniu, które stosowne jest w szpitalu albo na cmentarzu, więc np.: ,,*Off goes John*'' (Jan odchodzi), widzimy na pierwszym miejscu przysłówek, na drugim czasownik-orzeczenie, a dopiero na trzecim podmiot. Ponadto, bardzo często zdanie zaczyna się po-spolicie od przysłówka ,,*here*'' (tu), a zwłaszcza ,,*there*'' (tam, oto). ,,*There is a camisole de force for you, sir*'' (Oto kaftan bezpieczeństwa dla pana, panie). — Wszelako na kaftan bezpieczeństwa jest także inne, niezapożyczone z francuskiego, wyrażenie ,,*Strait-waiscoat*''. Nb. pamiętaj, dr. A., że jest to słowo raczej rzadko używane. ,,*Here you can have a look at the radiograph of your gastric ulcer, sir*'' (Tu może pan popatrzeć na zdjęcia roentgenowskie pańskiego wrzodu żołądka, panie).

Przypadek zasadniczy występuje jako przedmiot bliższy np. w zdaniu: ,,*Kowalski had a blood-transfusion*'' (K. dostał transfuzję krwi). Po polsku wyrażamy przedmiot bliższy za pomocą przypadku czwartego, czyli ,,biernika'', w razie zaś, gdy czasownik występuje z przeczeniem, posługujemy się przypadkiem drugim, czyli ,,dopełniaczem''.

Po angielsku nie ma różnicy: ,,*K. had not an injection*'' (K. nie dostał zastrzyku). W języku polskim szyk może być dowolny, w angielskim przypadek zasadniczy w funkcji przedmiotu bliższego kładziemy po orzeczeniu. Nb. idzie tu o orzeczenie jako o część zdania, nie o orzeczenie lekarskie.

Dr. A., muszę cię prosić o chwilkę cierpliwości. Nie gniewaj się, że próbuję wyjaśnić znaczenie tak idiotycznie łatwych terminów, jak rzeczownik, podmiot, przedmiot itp. Felietony te piszę dla wszystkich, nie dla pełnocenzusowców którzy wiedzą doskonale, co to jest przedmiot ,,bliższy'' i przedmiot ,,dalszy''. Kto jak kto, ale ty kapujesz z pewnością, że w zdaniu np. ,,*The chaplain gave John extreme unction*'' (kapelan dał John'owi ostatnie namaszczenie), słowo ,,*unction*'', choć stoi na dalszym miejscu, przecież stanowi przedmiot bliższy, podczas gdy John jest przedmiotem dalszym, który po polsku wyrażamy w przypadku trzecim, czyli ,,celowniku'', stosując go na pytanie ,,Komu? Czemu?''

Zdanie ,,*She gave John a prayer book*'' (Dała John'owi książkę do nabożeństwa) dziwnie trochę brzmi dla polskiego ucha, szukamy bowiem jakiegoś dodatku, jakiegoś bodaj przyimka, który by odział gołego ,,*John*'', albo też pragniemy — i to mimowoli — zmienić ,,*John*'', dać mu jakąś przyzwoitą końcówkę, która by przypomniała nasze ,,*John'owi*'', ale ta forma wyrażania przedmiotu dalszego po angielsku jest właściwa, choć nie wszystkie czasowniki dadzą się bezkarnie stosować w tym znaczeniu.

Język angielski, oczywiście nie dlatego, że Polaków razi odrobinę ta forma, używa jej dosyć rzadko i w miarę, a mianowicie przy czasownikach, jak ,,*to bring*'' (przynieść), ,,*to fetch*'' (przynieść, przyprowadzić), ,,*to forgive*'' (zapomnieć, wybaczyć), ,,*to give*'' (dać), ,,*to lend*'' (pożyczyć komuś — ,,pożyczać od kogoś'' znaczy ,,*to borrow*''), ,,*to offer*'' (ofiarować), ,,*to pay*'' (płacić), ,,*to promise*'' (obiecać), ,,*to refuse*'' (odmówić), ,,*to sell*'' (sprzedać), ,,*to send*'' (posłać), ,,*to tell*'' (powiedzieć). Zdaje się, że tyle będzie całej parady.

,,*Clemency brought John the syringe*'' (Klemencja przyniosła Jankowi strzykawkę), ,,*Guendolen fetched John two pounds of real Polish saussage one hour before his death*'' (Gwendolina przyniosła John'owi dwa funty prawdziwej polskiej kiełbasy na godzinę przed jego śmiercią), ,,*Mildred will forgive John his breach of faith*'' (Mildryda wybaczy John'owi jego wiarołomstwo), ,,*Cecily lent John her slippers which were too small for her*'' (Cecylia pożyczyła John'owi swych pantofli, które były dla niej za ciasne), ,,*Clarice offered John her heart*'' (Klaryssa ofiarowała John'owi swe serce), ,,*Patricia promised John to attend his funeral*'' (Patrycja przyrzekła John'owi być obecną na jego pogrzebie), ,,*Olive sent John a nice wreath*'' (Oliwia posłała John'owi ładny wieniec), ,,*Sarah told John ,,Keep smiling*'' (Sara powiedziała John'owi ,,uśmiechaj się ciągle'') itd.

Przypadek zasadniczy może stanowić także dopełnienie przedmiotu w tych okolicznościach, gdy po polsku używamy tzw. ,,narzędnika'' (na pytanie: Kim? Czym?), czyli przypadka szóstego. Po angielsku mówimy ,,*He is swine*'', po polsku ,,on jest świnią''. ,,*She is a snake*'' (ona jest żmiją).

Wspomniałem już i to, że przypadek zasadniczy występuje po angielsku także jako ,,wołacz'', czyli w sytuacji, w której po polsku posługujemy się przypadkiem piątym. Co prawda, słyszy się czasem po polsku zwrot ,,Panie kapral!'' albo ,,Panna Mania, zrób mi pani tę przyjemność!'' lecz nie jest to forma szczególnie grzeczna ani poprawna. Po angielsku występuje w tej kombinacji zawsze przypadek zasadniczy: ,,*Corporal*'', ,,*Miss Mary, would you like to do me a pleasure!*'' Podobnie mówimy do starszych i przełożonych, czy do ludzi dobrze ubranych, względnie i do Boga: ,,*General!*'', ,,*sir!*'', *Lord!*'', ,,*God! forgive me!*'' (Boże, daruj mi).

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

SZCZYPTA HYPTA

SPIV

Nie potępiłbym, przeciwnie, —
patrzałbym z podziwem,
Na Polaka, co by został
dzisiaj w Anglii — spivem.

Z konieczności: Trade Union'y
bijąc go okrutnie,
nie dają mu być murarzem
— musi zostać trutniem.

Przedtem latał w Battle of Britain
i bronił Tobruku, —
płacąc za to, zostawiają
go teraz na bruku...

Przedtem służył im na morzach
zwalczając U-boat'y —
przeszło, poszło... Dziś zazdroszczą
mu nawet roboty!

Nie mogąc na chleb zarobić
jak dotąd uczciwie,
brałby przykład z typów w Soho
— ja mu się nie dziwię.

Lecz, choć rozumiem dlaczego
mógłby zostać spivem,
cofam, com rzekł, „że bym patrzał
na niego z podziwem".

J. HYPT

SPIS RZECZY

Takie jest prawo angielskie

Sądownictwo w sprawach karnych

Klasyfikacja przestępstw w prawie angielskim jest zależna od postępowania procesowego, na którego podstawie są one rozpatrywane.

Są więc albo „*indictable*", tzn., oskarżony (*defendant*) jest sądzony przez ławę przysięgłych (*jury*) z aktu oskarżenia (*indictment*), lub są „*nonindictable*", wówczas podpadają kompetencji sądu i najniższej instancji „*Magistrates Courts*" i są rozpatrywane w skróconym postępowaniu (*summary jurisdiction*) przez co najmniej dwóch sędziów pokoju (*J.P.*) na tzw. „*Petty Sessions*".

Prawo angielskie klasyfikuje również jako przestępstwa „*indictable*" zdradę stanu (*treason*), zbrodnię (*felony*) i wykroczenia (*misdemeanour*). Dawniej zbrodnia — „felony" karana była śmiercią i konfiskatą majątku, dzisiaj jednakże kara śmierci utrzymała się przy sprawach o zdradę stanu, morderstwo, oraz za zbrodnie, nie popełnione w Anglii od przeszło 150 lat, jak korsarstwo, podpalenie okrętu królewskiego, względnie doku morskiego.

W r. 1940 specjalnym aktem parlamentu wprowadzono karę śmierci za zbrodnię „*treachery*", w odróżnieniu od „*treason*", które prawo angielskie określa jako „atak wymierzony przeciw bezpieczeństwu państwa lub króla, jako jego głowy". Osławiony „*lord How How*" z radia niemieckiego, skazany został na karę śmierci za „*treachery*". podobnie jak Amery oraz kilku jeńców angielskich, którzy pracowali dla Niemców.

Trudno zakreślić różnicę między „zbrodnią" a „wykroczeniem", w prawie angielskim. Podział ten nie ma obecnie logicznych podstaw. Nie można bowiem powiedzieć, że wszystkie poważniejsze przestępstwa są zbrodniami, bo np. kradzież, choćby najdrobniejszej sumy jest „*felony*", podczas gdy oszukańcze wyłudzenie pieniędzy, bez względu na wysokość kwoty, dalej krzywoprzysięstwo, przekupstwo urzędników, podburzanie do rozruchów i wiele innych ciężkich przestępstw, są klasyfikowane jako „*misdemeanours*".

Ale wróćmy do dzisiejszego naszego tematu. Sądy Pokoju (*Magistrates Courts*) niesłusznie często zwane „sądami policyjnymi", zajmują się zarówno sprawami „*indictable*" i drobniejszymi „*non-indictable*", o ile oskarżony może i godzi się na rozpatrywanie przez takie sądy. Oskarżony ma apelację do „*Quarter Sessions*", sądu, który na prowincji, składa się również z sędziów pokoju, jednakże sąd taki może prosić Lorda Kanclerza o powierzenie przodownictwa zawodowemu prawnikowi, wówczas jurysdykcja jego jest nieco szersza. Błędy prawne sędziego pokoju poprawiane są w Sądzie wyższym (*Kings Bench Division*) na postawie postępowania „*stating a case*".

Wielka odpowiedzialność spoczywa na sędzi pokoju w sprawach, które muszą być sądzone przez ławę przysięgłych (jury). W tym wypadku sędzia pokoju nie rozpatruje sprawy dla wydania wyroku, to znaczy nie orzeka, czy oskarżony jest winny czy nie. Jego obowiązkiem jest jedynie ustalić przez wstępne badania, czy zachodzi bezwzględne i nie ulegające wątpliwości podejrzenie przeciw oskarżonemu (*prima facie case*), wobec czego — według jego przekonania — oskarżonego należy oddać pod sąd. Postępowanie to ma dwojaki cel: poinformowanie oskarżonego za jaką zbrodnię będzie sądzony, z drugiej strony nienarażanie go na ewentualny proces, gdy brak podstaw.

Jeżeli sędzia uzna, że podejrzenie przeciw oskarżonemu jest uzasadnione, odsyła go do sądu „*Assizes*" (sąd wyjazdowy) lub „*Quarter Sessions*". Wszystkie zbrodnie rozpatrywane są przez te sądy, jednakże zbrodnie, za których popełnienie grozi przestępcy kara śmierci lub dożywotnie więzienie, podpadają kompetencji tylko sądu „*Assizes*".

Sesje tego sądu na prowincji odbywają się trzy lub cztery razy do roku, tworzą go sędziowie z „*Kings Bench Division*" oraz *jury*. W Londynie, sąd tej instancji znany jest powszechnie pod nazwą „Old Bailey", obraduje miesięcznie, a składa się poza sędziami, z piastunów staroświeckich urzędów City: „*Recorder'a*" (archiwisty), desygnowanego przez Lorda — Mayora, oraz z „*Common Serjeant*", (strażnika Izby Gmin).

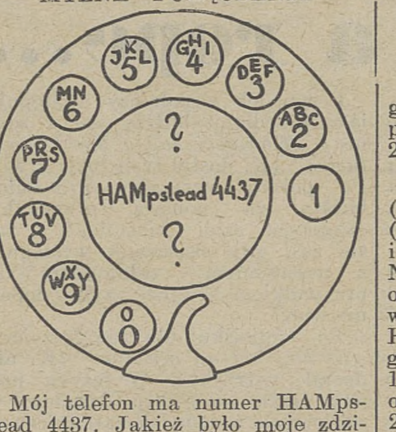
Apelacja od wyroku skazującego idzie do „*Court of Criminal Appeal*", złożonego z trzech sędziów. W wyjątkowych wypadkach istnieje apelacja do Izby Lordów za zgodą „*Attorney-General*" (pełnomocnika generalnego Korony) jeżeli naruszone zostało prawo w sprawie o niezwykłym znaczeniu publicznym.

Jest jeszcze sąd apelacyjny, który zajmuje się apelacjami od sądów apelacyjnych Imperium (dominialnych, mandatów itd.), prócz Irlandii (Eire), a mianowicie „*Judicial Committee of the Privy Council*" (Komitet prawny Rady Tajnej). Składa się z pięciu lordów prawa. Nie wydają oni nigdy formalnego orzeczenia, lecz po wyrażeniu swych zapatrywań, „pokornie radzą Jego Królewskiej Mości" zgodzić się na apelację lub ją odrzucić.

Znaczenie, a raczej władza Tajnej Rady jest bardzo wielka. Skazany na karę śmierci przez sąd w jakiejkolwiek części Imperium brytyjskiego może odwołać się do Tajnej Rady, o ile zostało naruszone prawo, lub proces prowadzony był sprzecznie ze sprawiedliwością, według pojęć brytyjskich.

Dr S.

MYLNE POŁĄCZENIE



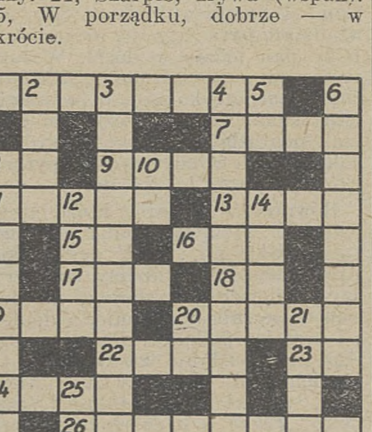
Mój telefon ma numer HAMpstead 4437. Jakież było moje zdziwienie, gdy wczoraj ktoś dzwoni i pyta: „Czy to GERrard 4264?" Odpowiedziałem oczywiście, że nie — i dotychczas się dziwię, skąd zaszła aż taka pomyłka. Może wy wiecie?

KRZYŻÓWKA

Poziome: 1, Różny, 7, Każda rewolucja tym się zaczyna. 8, Znajdziesz na kranach, w umywalni. 9, Azali. 11, Anglicy tak nazywają krótki utwór literacki. 13, Dopóki się nie urwie, to i dzban wodę nosi! 15, Inicjały poety polskiego. 16, Leci do światła. 17, „Powietrze" — w jęz. obcym. 18, Skrót popularnego imienia męskiego. 19, Może być czarna lub z mlekiem. 20, Pięć samogłosek. 22, „Blisko" — po angielsku. 23, Zaimek osobowy (3 przyp.). 24, Wrócił na Piccadilly! 26, Objętość.

Pionowe: 2, Początek schodów (wspak). 3, Niedobrane małżeństwo (2-gi przyp.). 4, Cezar, Pompejusz i Krassus utworzyli pierwszy. 5, Niedokończone „tak" — w języku obcym. 6, Roztwór bawełny strzel. w eterze. 8, Grecy tak nazywali Herkulesa. 10, Dwie skrajne samogłoski. 12, Bywa bardzo głęboki. 14, Kompletny. 20, Istotna część oazy. 21, Szarpie, zrywa (wspak). 25, W porządku, dobrze — w skrócie.

Spróbuj...



KIEPSKI INTERES ...

Mój znajomy zegarmistrz sprzedał dziś dwa zegarki po sześć funtów każdy. Na jednym stracił dwadzieścia procent, ale za to na drugim dwadzieścia procent zarobił ... Grunt, że obrót jest — powiedział. Ja mu odradziłem robienia takich transakcji. Dlaczego?

Rozwiązania wszystkich zadań należy przesłać do środy, dn. 3.9. 1947 (data stempla pocztowego) z podaniem nazwiska i dokładnego adresu. Koperty winny być adresowane do Redakcji „Polski Walczącej" (84, Hazlewell Rd., London, S.W.15) i zaopatrzone w wyraźny napis „SPRÓBUJ".

Za prawidłowe rozwiązanie zostanie przyznana nagroda w postaci cennej książki: w razie nadesłania kilku prawidłowych odpowiedzi — w drodze losowania.

Rozwiązania z tego numeru oraz nazwisko osoby nagrodzonej ukażą się w Nr. 36. „Polski Walczącej".

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z Nr. 32

REBUS: Ekwilibrystyka.

ŻYCIE TOWARZYSKIE: Pan C.

KRZYŻÓWKA: Poziome: 3, Hełmy. 6, Owca (acwo). 7, Racja. 10, Kobuz. 11, Hal. 12, Dot (tod). 14, Krowo. 15, Agawa. 17, Otto. 18, Lichy. Pionowe: 1, Kalkuta. 2, Swoboda. 4, Ewa. 5, Moja. 7, Rzeka. 8, Chłosta. 9, Alkohol. 13, Ogni. 16, WSH.

Za prawidłowe rozwiązanie wszystkich zadań nagrodę w postaci książki Józefa Conrada - Korzeniowskiego pt. „Zwycięstwo" otrzymał w drodze losowania P. J. Osadziński, Hermitage Camp nr. Newbury, Berks.

ANGLIA NA CODZIEŃ

DOŃCIU JEST MUZYKALNY

Urlop zawsze trwa krócej, niż opis urlopu. Od miesiąca opisuję moją egzotyczną ekspedycję do Belgii i mógłbym jeszcze pisać tomy, np. „Ostenda pachnąca Niveą", „Żydy śpiewają w Brukseli", a przecież dwa tygodnie mijają od chwili, kiedy Dońciu powitał mnie na stacji *Victoria* okrzykiem: „Patrzcie, jednak wpuścili go z powrotem do Anglii!"

Następnie ucałowawszy mnie trzykrotnie w oba policzki na przemian, co nie zdziwiło zbytnio okolicznych Anglików, jako że pociąg był z Kontynentu, przyjrzał się mej ogorzałej twarzy i stwierdził, iż wyglądam świetnie i odmłodniałem: „Nawet włosy odrosły ci, jak Feniks — z własnego łupieżu".

Zapytany przez Dońcia o wrażenia z Belgii wiedziałem, że miał on na myśli przede wszystkim przeżycia gastronomiczne, toteż opowiadanie moje rozpocząłem od opisu pierwszego obiadu u M-me Nibus, gdzie pędziłem boztroskie dni i noce w czasie mego urlopu.

Jesteś muzykalny — zagaiłem — grywałeś na fortepianie z Miss Scarlet na cztery ręce (rzeczywiście Dońciu zwykł był przysiadać się do Miss Scarlet, gdy ta grała na fortepianie, jeśli jednak w pokoju nie było nikogo więcej — następowała długa cisza, co Dońciu wyjaśniał naukowo: „Pauzy też należą do muzyki"). — Jestem pewien — ciągnąłem — że nawet „Niedokończoną Symfonię" Schuberta potrafiłbyś łatwo wykończyć. Zobrazuję ci więc ten obiad jako symfonię, kompletną w czterech częściach.

Część pierwsza — *Andante* — zupa szczawiowa: motyw świeżej śmietany zlewający się w harmonijną całość z sielankowym motywem szczawiu, w ogólnej tonacji tęgiego rosołu. Grzanka jako dyskretna perkusja.

Część druga — *Largo maestoso* pieczyste: na stole pojawia się delikatny akord sałaty w majonezie, do którego dołącza się głośny w swej czerwieni motyw konfitury z borówek, poprzedzający zasadniczą partię smyczków — kurczęta pieczone, zaakcentowane kontrapunktem przysmażonych ziemniaków.

Część trzecia — *Allegro sotto* — deser: przebogaty, choć lekki w konstrukcji akord ciasta ponczowego z wplecionym weń motywem malin w konfiturze, z świeżym kremem jako solową partią skrzypiec.

Część czwarta — *Allegretto aromatico* — kawa: doskonała harmonia umiejętnie zaparzonej kawy z przepyszną śmietanką; pozostawiająca na długie godziny (aż do kolacji) niezatarte wrażenie aromatu i słodyczy.

Po obiedzie *Madame* zapytała mnie, czy obiad mi smakował. Uważałem za najświętszy obowiązek wygłosić przemówienie, które tu dla pożytku potomności i dla zapełnienia szpalty zamieszczam.

— „*Madame* — rzekłem, ocierając krem z brody — przybywam z kraju, gdzie gospodynie uważają gotowanie za stratę czasu; gdzie zupy są kupowane gotowe w puszkach, befsztyki robi się z *corned beef'u*, gdzie jarzyny gotuje się tak, jak bieliznę w praniu, gdzie deser robi się z proszku, a kawę z esencji w butelce.

— „Urodziłem się zaś — ciągnąłem ocierając łzę z oka — w kraju, gdzie gospodynie uważają za swój obowiązek i zaszczyt — dobrze gotować, gdzie kuchnia — to laboratorium zdrowia i radości całej rodziny, gdzie panie domu szlachetnie współzawodniczą w dobrym przyrządzaniu potraw dla swych małżonków i dzieci. Niech mi będzie wolno stwierdzić — tu skłoniłem się w stronę wzruszonej *Madame* — że obiad ten jest pierwszym obiadem godnym tej nazwy od czasu, kiedy opuściłem mój rodzinny kraj".

Dońciu milcząc przeżywał w wyobraźni muzykę smaków i woni. Potem, jakby budząc się z pięknego snu, westchnął i zmienił temat:

— „Jak sobie radziłeś z francuskim językiem?"

— „Świetnie — zapewniłem go — francuski przychodził mi tak łatwo, jak tobie angielski. Naturalnie, lata w Anglii i na okupacji w Niemczech miały swój wpływ: prosząc o upranie koszuli powiedziałem: „*Madame, pouvez-vous vacher ma cherte?*", ale Belgowie są nadzwyczaj domyślni i *Madame* patrząc na mą koszulę nie miała wątpliwości, że upranie jej jest rzeczą konieczną i niecierpiącą zwłoki.

Tymczasem wsiedliśmy do autobusu — bo przez cały czas tej rozmowy staliśmy w ogonku na przystanku autobusowym. Była to już bowiem z powrotem — Anglia na codzień.

RAD

WYDAJE "FIGHTING POLAND" TRUST

Adres Redakcji (Editorial Offices): 84, Hazlewell Road, London S.W. 15. Tel. PUTney 1273.
(w poniedziałki i wtorki: Tel. SLOUGH 21230)
Redaktor przyjmuje w środy w godzinach 12—13.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 10 s., ($5). Zarezerwowane miejsce 50 proc. drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100 proc. drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1sh. za słowo, trzykrotne 1sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1sh. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji: 160 Earls Court Road, London, S. W. 5. Tel. FRObisher 3881.

Printed in England for „Polska Walczaca" by Groves, Brodie & Co., Ltd. The Windsor Press, Trading Estate, Slough, Bucks. Registered at the G.P.O. as a Newspaper